

informer

GDAŃSKIEGO KLUBU FANTASTYKI

ISSN 1505-8476



nr 257
wrzesień 2010



GŁOS SPOZA KOLEGIUM

Witajcie już całkiem powakacyjnie, drodzy Czytelnicy! Znów mamy normalny, pojedynczy, numer naszego „Informatora”. Informatora mówiącego tym razem o wrześniu, a więc składanego w październiku.

I tu pojawiła się dla mnie pierwsza trudność: trzy pierwsze tygodnie miesiąca tak mi się wariacko ułożyły (liczne delegacje oraz inne obowiązki), że kolegium redakcyjne z moim udziałem moglibyśmy zwołać dopiero w ostatnim tygodniu października. Nawet jeśli udałoby to na początku owego tygodnia – to wydruki otrzymalibyśmy pod jego koniec; więc do wielu z Was wrześniowy numer dotarłby już po Wszystkich Świętych i Zaduszkach – a do takiej obsuwy nie mogliśmy dopuścić. I tak oto niniejszy „Informator” jest drugim numerem złożonym bez bezpośredniego udziału rednacza (pierwszy był dawno temu, chyba z fotosem z adaptacji drugiego *Harry’ego Pottera* na okładce – z podobnej zresztą przyczyny). Jestem więc, podobnie jak Wy, szczerze ciekaw, jak wygląda wnętrze numeru 257!

Drugim nagłym zamieszaniem była dla mnie sprawa wstępniaka. Już jakiś czas temu opracowałem kilka słów na temat kryminalnych powieści Piotra Schmandta (o których napomknąłem też w tegorocznej relacji z Nocy Muzeów). Jednak, po wrześniowym wieczorze autorskim, zamysł tego tekstu rozszerzył się o porównanie obu utworów – a pierwotny wstępniak przeobraził się w recenzję (którą przeczytacie w tym lub następnym numerze). Ostatecznie więc tegoroczny wstępniak wrześniowy przybrał postać mocno improwizowaną: impresyjną – a po części także remanentową.

W ramach tego remanentu chciałby napisać o jednej sprawie, korespondującej zresztą ze wstępniakiem poprzednim. Wtedy, jak pewnie pamiętacie, wspominałem m.in. o bractwach rycerskich. Z wrześniowego posiedzenia Zarządu wiem, że być może szykuje się coś na kształt współpracy z jednym z nich. Zaś nasz Wielkokacki Korespondent zaproponował jednemu ze swoich znajomych pisywanie do „Info” cyklicznych felietonów o historii (skoro było o muzyce, a jest o matematyce). Na razie otrzymaliśmy tekst pierwszy. W tym numerze jednak nie pójdzie on na pewno: jest długi (z ilustracjami 8 stron), mógłby się więc nie zmieścić. W ogóle – długie teksty (jakiegokolwiek!) stanowią dla nas swoisty problem: gdy materiału jest dużo – czynią numer szalenie grubasnym, gdy materiału jest mało – stanowią w nim akcent dominujący. Może więc nasz Potencjalny Felietonista spróbowałby zdyscyplinować się do krótszej formy? Bo przeciw tematowi historii nic nie mam: całkiem ciekawie komponuje się z tematyką fantasy i z niektórymi gramami (jak opis matematycznego wszechświata bliski jest wielu koncepcjom fantastyki naukowej).

A’ propos historii i moich ostatnich wyjazdów. Dwukrotnie prowadziłem szkolenie (z dyscypliny zwanej negocjacjami) w ośrodku przygotowań olimpijskich w Spale – i wyniosłem z owego pobytu dwie impresje. Pierwsza dotyczy samego Ośrodka: taki kompleks hal sportowych i kompletnego zaplecza nawet na tak zadeklarowanym sybarycie jak ja robi autentyczne wrażenie! Druga dotyczy okolic: wśród zwiedzanych w wolnych chwilach miejsc szczególnie zapadł mi w pamięć kościółek pw. Św. Idziego. Wstępny zaskoczeniem był już sam widok z daleka: budowla wyglądała na romańską. I okazała się jak najbardziej romańska – co w naszych warunkach należy do rzadkości (zabytek klasy zerowej, jak każda zachowana budowla z wcześniejszego rozdziału polskiego średniowiecza). Kolejnym zaskoczeniem był fakt, iż ową budowlę ufundował Władysław Herman jako wotum wdzięczności za narodziny Bolesława Krzywoustego („Modły świętego Idziego przyczyną narodzin jego”). Tak, tak: ten wiersz z kroniki Galla Anonima – swego czasu rewelacyjnie zaśpiewany przez Ewę Demarczyk (jedną z najlepszych polskich piosenkarek, choć jej repertuar zmieściłby się na dwóch long playach) – jest nawet wryty obok dla turystów! Poza tym jechałem przez most na Pilicy, który wystąpił w *Czterech pancernych* (ale to całkiem inna historia i fantastyka).

Życzę Wam (i sobie) miłej lektury tego numeru „Informatora” ☺

URODZINY

**Listopadowym Urodzieńcom
- w tym ponurym miesiącu -
życzymy zdrowia, pomyślności i poczucia
euforycznego szczęścia (bez dopalaczy i Palikota!)
INFOredaktory**

1 Krzysztof Kielichowski
5 Marcin Grygiel
8 Piotr Mazurowski
10 Marcin Rutkowski
11 Elżbieta Kotlarek
12 Janusz Piszczek
13 Ewa Krasowska
16 Sławomir Ginter
26 Przemysław Kantelecki
Jaśmina Kotlarek
28 Adam Jakubowski
Małgorzata Stankiewicz
Małgorzata Szczepańska
30 Konrad Wawruch



Drodzy Klubowicze i Przyjaciele Gdańskiego Klubu Fantastyki!

Chciałbym skorzystać z kawałka wolnego miejsca i podziękować Wam serdecznie za wsparcie, jakiego udzieliliście GKF-owi, przekazując na jego rzecz 1% podatku.

Wasza ofiarność jest dla nas bardzo cenna. Wzmacnia w nas świadomość, że mamy przyjaciół, a także umożliwia nam robienie tych fantastycznych rzeczy, na które – najzwyczajniej w świecie – potrzeba pieniędzy. To dzięki Wam możemy znów wydawać „Anatomię fantastyki”, wspierać inicjatywy Klubowiczów, rozbudowywać zaplecze Klubu i spokojnie patrzeć w przyszłość.

Wśród tegorocznych Darczyńców znaleźli się: Janusz Bogucki, Paweł Brewka, Jadwiga Czach, Ireneusz Dąbrowski, Jacek Gałazka, Bogusław Gwozdecki, Przemysław Jatkiewicz, Dariusz Juszczewski, Konrad Klepacki, Edward Kołakowski, Jarosław Kotarski, Robert Kotlarek, Jerzy Miksza, Mirosław Ody, Lesław Olczak, Mariusz Pawlicki, Beata Pezena, Krzysztof Pezena, Janusz Piszczek, Adam Siudymak, Anna Sobótka, Michał Szklarski, † Maria Szmigiel i Andrzej Targański.

Wyżej wymienionym oraz tym wszystkim, którzy woleli, aby ich pomoc pozostała anonimowa, raz jeszcze bardzo serdecznie dziękuję.

Tomek „Yoga” Hoga
Prezes Gdańskiego Klubu Fantastyki

POSIEDZENIE ZARZĄDU GDAŃSKIEGO KLUBU FANTASTYKI

Odbyło się 22 września 2010 r. Ważniejsze z poruszanych spraw:

I. SPRAWY ORGANIZACYJNE

1. Zarząd rozwiązał Dział Gier Planszowych i Karcianych
2. Zarząd utworzył Dział Gier Planszowych
3. Zarząd utworzył Dział Gier Karcianych

II. SPRAWY PERSONALNE

1. Zmiany funkcyjne

Zarząd mianował Marcina Grzybowskiego szefem Działu Gier Planszowych

Zarząd mianował Janusza Bułakowskiego szefem Działu Gier Karcianych

2. Przyjęcie członków do GKF

Karolina Moryl, Lucyna Szmaglik (obie KF Angmar)

III. SPRAWY FINANSOWE

1. Skarbnik GKF wstępnie omówił wpływy z 1% od podatku.

2. Szef Działu Larpów Krzysztof Chmielewski omówił projekt zorganizowania I Konferencji Twórców Gier Teatru Żywego (28-30 stycznia 2011 w Toruniu). GKF byłby jednym z trzech organizatorów. Zarząd wstępnie uchwalił dotację 1000 zł. Dotacja zostanie zatwierdzona po dostarczeniu przez szefa Działu dodatkowych danych (m. in. rozliczenia finansowania Konferencji).

IV. PRACA KOMISJI REWIZYJNEJ

Komisja przedstawiła plan kontroli w okresie wrzesień 2010 – styczeń 2011:

- koniec września-początek października – kontrola Działu Gier Strategicznych (dokładna data zależy od terminu przyjazdu szefa Działu Michała Stawskiego;
- pierwsza połowa października – kontrola materiałów trwałego użytku;
- druga połowa października – kontrola Działu Gier Planszowych;
- listopad – kontrola Działu Bibliotecznego, Sekcja Polskojęzyczna;
- styczeń 2011 r. (przed Walnym Zebraniem GKF) – kontrola finansów GKF za rok 2010.

V. IMPREZY

1. Omówiono stan przygotowań do Nordconu 2010.

2. Szef Działu Larpów Krzysztof Chmielewski zdał relację z konwentu larpowego Przywidzenie 2010.

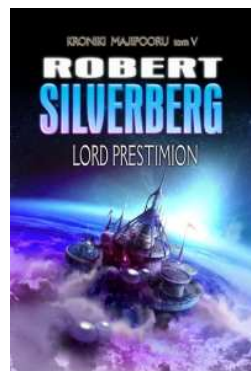
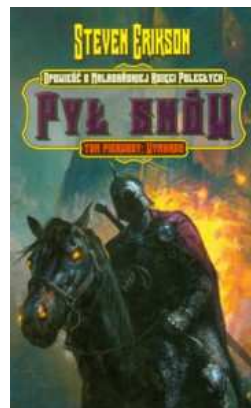
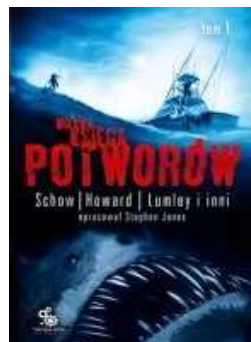
3. Szef Działu Larpów zreferował zasady cyklicznej imprezy Shadows of Poland. Zarząd zlecił Krzysztofowi Chmielewskiemu analizę możliwości włączenia się GKF do imprezy.



NABYTKI BIBLIOTEKI GKF

Zakup książek czerwiec - wrzesień 2010

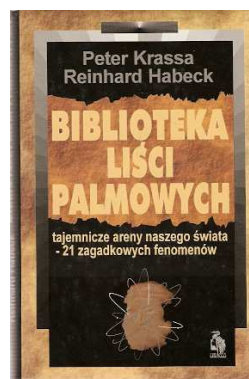
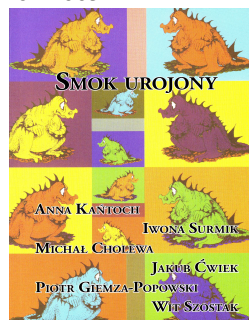
Antologia	Jeszcze nie zginęła
Antologia	Przedświt
Antologia	Wielka księga potworów t1
Antologia	Wielka księga potworów t2
Andrews Ilona	Magia uderza
Bishop Anne	Czarne kamienie t5. Splątane sieci
Brett Peter V.	Pustynna Włócznia
Buchanan Col	Wędrowiec
Cadigan Pat	Głupcy
Canavan Trudi	Misja ambasadora
Card Orson Scott	Ender na wygnaniu
Charlton Blake	Czaropis
Ćwiek Jakub	Krzyż Południa. Rozdroża
Dąbrowski Krzysztof T.	Anima vilis
Domagalski Dariusz	Gniewny pomruk burzy
Erikson Steven	Pył snów t1. Wymarsz
Erikson Steven	Pył snów t2. Pustkowia
Foryś Robert	Początek nieszczęść królestwa
Gromyko Olga	Wiedźma opiekunka t2
Gromyko Olga	Wiedźma Opiekunka t1
Hamilton Laurell K.	Taniec śmierci
Hamilton Peter F.	Pustka: Sny
Harris Charlaine	Martwy dla świata
Harris Charlaine	Lodowaty grób
Herbert Brian, Anderson Kevin J.	Łowcy Diuny
Herbert Frank	Kapitułarz Diuną
Kołodziejczak Tomasz	Czarny horyzont
Komuda Jacek	Krzyżacka zawierucha
Kossakowska Maja Lidia	Zbieracz burz t2
Martin George R.R.,	Wyprawa łowcy
Dozois Gardner, Abraham Daniel	
McCaffrey Anne i Todd	Smoczy ogień
McDevitt Jack	Chindi
Meyer Stephenie	Drugie życie Bree Tanner
Miéville China	W poszukiwaniu Jake'a
Moore Christopher	Gryź, mała, gryź
Mortka Marcin	Miecz i kwiaty t3
Pankiejewa Oksana	Przekraczając granice
Perry Steve	Matadora
Przechrzta Adam	Białe noce
Przybyłek Marcin	Gamedec: Zabaweczki. Sztorm
Ratkiewicz Eleonora	Paradoksy młodszego patriarchy
Reynolds Alastair	Otchłań rozgrzeszenia
Ruda Aleksandra	Odnaleźć swą drogę
Silverberg Robert	Kroniki Majipooru t5. Lord Prestimion



Tchaikovsky Adrien	Krew modliszki
Twardoch Szczepan	Wieczny Grunwald
Valente Catherynne M.	Palimpsest
Weber David	Rafa Armageddonu
Weeks Brent	Poza Cieniem
Wegner Robert M.	Opowieści z Meekhańskiego pogranicza. Wschód – Zachód
Wełnicki Marcin	Śmiertelny bóg
Werber Bernard	Imperium aniołów
Williams Tad , Beale Deborah	Smoki ze Zwyczajnej Farmy
Wolski Marcin	Jedna przegrana bitwa
Yarbro Chelsea Quinn	Krwawe igrzyska
Zamboch Miroslav, Prochazka Jiří W.	Agent JFK t1. Przemysłnik

Darowizna książek czerwiec – wrzesień 2010

Antologia	PL +50. Historie przyszłości
Antologia	Trzecia brama
Antologia	Opowiadania nominowane do Nagrody im. Janusza A. Zajdla za rok 2009
Antologia	Smok urojony
Bilenkin Dymitr	Czarny olbrzym
Blaylock James D.	Elfy t1. Statek elfów
Bułyczow Kirił	Listy z laboratorium
Bułyczow Kirił	Guślar – Neapol
Charroux Robert	Dziedzictwo bogów
Ćwiek Jakub	Kłamca t1
Däniken Erich Von	Wspomnienia z przyszłości
Gribbin John, Rees Martin	Kosmiczne zbiegi okoliczności
Hubert Jane-Pierre	Obszar marzyciela
Kańtoch Anna	Miasto w zieleni i błękitie
Kasprowski Piotr	500 zagadek z fantasy i science fiction
Korbluth Cyril M.	Sezon ogórkowy
Korbluth Cyril M.	Domek z kart
Kossakowska Maja Lidia	Obrońcy królestwa
Krassa Peter, Habeck Reinhard	Biblioteka liści palmowych
McGill Gordon	Rumak
Michałowska Iwona	Winniczek i uzurpatorzy
Moorcock Michael	Zemsta róży
Sturgeon Theodore	Klucz do nieba
Tanner Charles R.	Tumitak z podziemnych korytarzy
Tanner Charles R.	Tumitak na powierzchni ziemi
Vogt A. E. Van	Gracze
Volkrodt Wolfgang	Było zupełnie inaczej
Weinbaum Stanley G.	Odyseja marsjańska
Wiatrowski Henryk	Czas oczyszczenia
Wilhelm Maria, Mathison Dirk	Avatar: Tajny raport o świecie Pandory
Wolczek Olgierd	Kosmiczne szlaki życia



ZAPOWIEDZI WYDAWNICZE

Październik 2010 (uzupełnienie)

MIASTO DUCHÓW (CITY OF GHOSTS) – STACIA KANE

Wydawca: Amber. Data wydania: 19 października 2010

NASTĘPCY (SMALL MIRACLES) – EDWARD M. LERNER

Wydawca: Prószyński i S-ka. Data wydania: 19 października 2010

POWRÓT CIENIA (SHADOWRISE) – TAD WILLIAMS

Wydawca: Rebis. Data wydania: 19 października 2010

PROJEKT STALIN (YELLOW BLUE TIBIA) – ADAM ROBERTS

Wydawca: Zysk i S-ka. Data wydania: 19 października 2010

PRZEBUDZENIE O PÓŁNOCY (MIDNIGHT AWAKENING) – LARA ADRIAN

Wydawca: Amber. Data wydania: 19 października 2010

CZERWONA APOKALIPSA – VLADIMIR WOLFF

Wydawca: Ender. Data wydania: 20 października 2010

MAGIA AVALONU (SPELLS) – APRILYNNE PIKE

Wydawca: Wydawnictwo Dolnośląskie. Data wydania: 20 października 2010

TONĄCE MIASTO (THE DROWNING CITY) – AMANDA DOWNUM

Wydawca: Dwójka Bez Sternika. Data wydania: 20 października 2010

ŻOŁNIERZE GRZECHU – ANDRZEJ ZIEMIAŃSKI

Wydawca: Bukowy Las. Data wydania: 20 października 2010

POCŁUNEK ŁOWCY (THE IRON HUNT) – MARJORIE M. LIU

Wydawca: Amber. Data wydania: 21 października 2010

DZIEDZICZKI – ANDRZEJ PILIPIUK

Wydawca: Fabryka Słów. Data wydania: 22 października 2010 Wznowienie

PODNIESIENIE (ASCENSION) – DREW KARPYSHYN

Wydawca: Fabryka Słów. Data wydania: 22 października 2010

RÓŻA SELERBERGU – EWA BIAŁOŁĘCKA

Wydawca: RUNA. Data wydania: 22 października 2010 Wznowienie

WILKOZACY. WILCZE PRAWO – RAFAŁ DĘBSKI

Wydawca: Fabryka Słów. Data wydania: 22 października 2010

ŻYCZENIE (WISH) – ALEXANDRA BULLEN

Wydawca: Bukowy Las. Data wydania: 22 października 2010

NAZNACZONA (MARKED) – P.C. CAST, KRISTIN CAST

Wydawca: Książnica. Data wydania: 25 października 2010 Wznowienie

WYBRANA (CHOSEN) – P.C. CAST, KRISTIN CAST

Wydawca: Książnica. Data wydania: 25 października 2010 Wznowienie

ZDRADZONA (BETRAYED) – P.C. CAST, KRISTIN CAST

Wydawca: Książnica. Data wydania: 25 października 2010 Wznowienie

JĘZYKI WĘŻY (TONGUES OF SERPENTS) – NAOMI NOVIK

Wydawca: Rebis. Data wydania: 26 października 2010

DIALOGI – STANISŁAW LEM

Wydawca: Agora. Data wydania: 27 październik 2010

DWIE WIEŻE (THE TWO TOWERS) – JOHN R.R. TOLKIEN

Wydawca: Amber. Data wydania: 28 października 2010

ŻADNYCH JEŃCÓW (NO PRISONERS) – KAREN TRAVISS

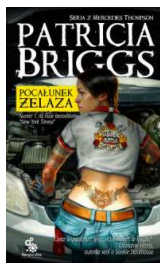
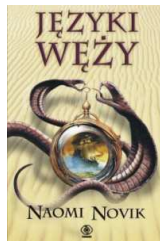
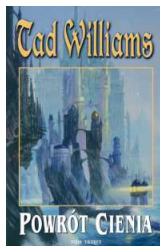
Wydawca: Amber. Data wydania: 28 października 2010

MŁOT NA CZAROWNICE – JACEK PIEKARA

Wydawca: Fabryka Słów. Data wydania: 29 października 2010 Wznowienie

POCŁUNEK ŻELAZA (IRON KISSED) – PATRICIA BRIGGS

Wydawca: Fabryka Słów. Data wydania: 29 października 2010



SMOCZY HARFIARZ (DRAGON HARPER) – ANNE MCCAFFREY, TODD MCCAFFREY

Wydawca: Książnica. Data wydania: 29 października 2010

OD DRACULI DO LESTATA. PORTRETY WAMPIRA – KATARZYNA KACZOR

Wydawca: Gdański Klub Fantastyki. Data wydania: październik 2010

Listopad 2010**NIEŚMIERTELNI. MIŁOSNE OPOWIEŚCI WAMPIRYCZNE (IMMORTAL" LOVE STORIES WITH BITE)**

Wydawca: Książnica. Data wydania: 3 listopada 2010

JEDENAŚCIE PAZURÓW

Wydawca: superNOWA. Data wydania: 4 listopada 2010

CZARNOKSIĘŻNIK Z ARCHIPELAGU (A WIZARD OF EARTHSEA) – URSULA K. LE GUIN

Wydawca: Prószyński i S-ka. Data wydania: 5 listopada 2010 Wznowienie

POJEDYNKI WAMPIRÓW (BLOOD FEUD) – ALYXANDRA HARVEY

Wydawca: Akapit Press. Data wydania: 5 listopada 2010

ZAGINIONA FLOTA. NIEULĘKŁY (THE LOST FLEET: DAUNTLESS) – JACK CAMPBELL

Wydawca: Fabryka Słów. Data wydania: 5 listopada 2010 Wznowienie

MAGICZNE DRZEWO. TAJEMNICA MOSTU – ANDRZEJ MALESZKA

Wydawca: Znak. Data wydania: 8 listopada 2010

POCAŁUNKI Z PIEKŁA (KISSES FROM HELL) – KELLEY ARMSTRONG, FRANCESCA

LIA BLOCK, KRISTIN CAST, RICHELLE MEAD, ALYSON NOËL

Wydawca: Amber. Data wydania: 9 listopada 2010

PRZEBUDZENIE (THE AWAKENING) – KELLEY ARMSTRONG

Wydawca: Zysk i S-ka. Data wydania: 9 listopada 2010

TAJEMNY KRĄG. KSIĘGA 1. INICJACJA. ZAKŁADNICZKA (THE INITIATION. THE CAPTIVE) – L.J. SMITH

Wydawca: Amber. Data wydania: 9 listopada 2010

UKOCHANY NIEŚMIERTELNY (IMMORTAL BELOVED) – CATE TIERNAN

Wydawca: Amber. Data wydania: 9 listopada 2010

WILCZY MIOT (WOLFBREED) – S.A. SWANN

Wydawca: Prószyński i S-ka. Data wydania: 9 listopada 2010

ANGELOLOGIA (ANGELOLOGY) – DANIELLE TRUSSONI

Wydawca: Świat Książki. Data wydania: 10 listopada 2010

CHRZEST OGNIĄ – ANDRZEJ SAPKOWSKI

Wydawca: superNOWA. Data wydania: 10 listopada 2010 Wznowienie

CZARODZIEJE (THE MAGICIANS) – LEV GROSSMAN

Wydawca: Sonia Draga. Data wydania: 10 listopada 2010

CZAS POGARDY – ANDRZEJ SAPKOWSKI

Wydawca: superNOWA. Data wydania: 10 listopada 2010 Wznowienie

CZYSTA KREW I FILOZOFIA. WAMPIRY STAJĄ SIĘ NAPRAWDĘ NIEGRZECZNE (TRUE BLOOD AND PHILOSOPHY: WE WANNA THINK BAD THINGS WITH YOU)

Wydawca: Editio. Data wydania: 10 listopada 2010

DZIEDZICTWO MROKU (THE DARK DIVINE) – BREE DESPAIN

Wydawca: Galeria Książki. Data wydania: 10 listopada 2010

KOSOGŁOS (MOCKINGJAY) – SUZANNE COLLINS

Wydawca: Media Rodzina. Data wydania: 10 listopada 2010

KREW ELFÓW – ANDRZEJ SAPKOWSKI

Wydawca: superNOWA. Data wydania: 10 listopada 2010 Wznowienie

METRO 2034 (METPO 2034) – DMITRY GLUKHOVSKY

Wydawca: Insignis. Data wydania: 10 listopada 2010



MIECZ PRZEZNACZENIA – ANDRZEJ SAPKOWSKI

Wydawca: superNOWA. Data wydania: 10 listopada 2010 Wznowienie

OSTATNIE ŻYCZENIE – ANDRZEJ SAPKOWSKI

Wydawca: superNOWA. Data wydania: 10 listopada 2010 Wznowienie

OSTATNI OLIMPIJCZYK (THE LAST OLYMPIAN) – RICK RIORDAN

Wydawca: Galeria Książki. Data wydania: 10 listopada 2010

PANI JEZIORA – ANDRZEJ SAPKOWSKI

Wydawca: superNOWA. Data wydania: 10 listopada 2010 Wznowienie

PRAGNIENIE (NEED) – CARRIE JONES

Wydawca: Bukowy Las. Data wydania: 10 listopada 2010

SZEPTY DZIECI MGŁY I INNE OPOWIADANIA – TRUDI CANAVAN

Wydawca: Galeria Książki. Data wydania: 10 listopada 2010

TESTAMENT THUBANA (L'EREDITÀ DI THUBAN) – LICIA TROISI

Wydawca: Videograf II. Data wydania: 10 listopada 2010

UDRĘKA (TORMENT) – LAUREN KATE

Wydawca: MAG. Data wydania: 10 listopada 2010

WIEŻA JASKÓŁKI – ANDRZEJ SAPKOWSKI

Wydawca: superNOWA. Data wydania: 10 listopada 2010 Wznowienie

SZTEJER – ROBERT FORYŚ

Wydawca: Fabryka Słów. Data wydania: 12 listopada 2010

KITTY I NOCE WASZYNGTONU (KITTY GOES TO WASHINGTON) – CARRIE VAUGHN

Wydawca: Amber. Data wydania: 16 listopada 2010

AKACJA (ACACIA) – DAVID ANTHONY DURHAM

Wydawca: MAG. Data wydania: 19 listopada 2010

CRYPTONOMICON (CRYPTONOMICON) – NEAL STEPHENSON

Wydawca: MAG. Data wydania: 19 listopada 2010

DOŻYWOCIE – MARTA KISIEL

Wydawca: Fabryka Słów. Data wydania: 19 listopada 2010

GENESIS / OLSNIENIE (GENESIS / BRAIN WAVE) – POUL ANDERSON

Wydawca: Solaris. Data wydania: 24 listopada 2010

KRÓL BÓLU – JACEK DUKAJ

Wydawca: Wydawnictwo Literackie. Data wydania: 24 listopada 2010

LEWIATAN (LEVIATHAN) – THOMAS E. SNIEGOSKI

Wydawca: Jaguar. Data wydania: 24 listopada 2010

PREFEKT (THE PREFECT) – ALASTAIR REYNOLDS

Wydawca: MAG. Data wydania: 26 listopada 2010

CABEZANO, KRÓL KARŁÓW – ROMUALD PAWLAK

Wydawca: Videograf II. Data wydania: listopad 2010

POPIÓŁ I KURZ. OPOWIEŚĆ ZE ŚWIATA POMIĘDZY – JAROSŁAW GRZEŚ

Wydawca: Fabryka Słów. Data wydania: listopad 2010 Wznowienie

BITWA O TORCH – DAVID WEBER & ERIC FLINT

Wydawca: Rebis. Data wydania: listopad 2010

POZDRÓWCIE CIEMNOŚĆ – ADRIAN TCHAIKOVSKY

Wydawca: Rebis. Data wydania: listopad 2010

WIEŻA ZIELONEGO ANIOŁA T.1 – TAD WILLIAMS

Wydawca: Rebis. Data wydania: listopad 2010 Wznowienie



Na podstawie serwisów:
Esensja.pl, Katedra.nast.pl, Solarisnet.pl
 przygotował Janusz Piszczek

NIUSY

TEGOROCZNE HUGO

5 września poznaliśmy tegorocznych laureatów nagrody Hugo. Powieść: ex equo China Miéville – *Miasto i miasto* (ukáže się w Polsce już w październiku!) oraz Paolo Bacigalupi – *The Windup Girl*; mikropowieść: Charles Stross – *Palimpsest*; nowela: Peter Watts – *The Island*; opowiadanie: Will McIntosh – *Bridesicle*; książka niebeletystyczna: Jack Vance – *This is Me, Jack Vance!* (*Or, More Properly, This is "I"*); komiks: Kaja i Phil Foglio – *Girl Genius, Volume 9: Agatha Heterodyne and the Heirs of the Storm*; film pełnometrażowy: *Księżyc (Moon)* – reż. Duncan Jones, scen. Nathan Parker; krótka forma filmowa: *Doctor Who: "The Waters of Mars"* – reż. Graeme Harper, scen. Russell T. Davies i Phil Ford; redakcja (tekst długi): Patrick Nielsen Hayden; redakcja (tekst krótki): Ellen Datlow; grafik profesjonalny: Shaun Tan; magazyn półprofesjonalny: red. Neil Clarke, Sean Wallace, Cheryl Morgan – *Clarkesworld*; autor literatury fanowskiej: Frederik Pohl; fanzin: red. Tony C. Smith – *StarShipSofa*; grafik nieprofesjonalny: Brad W. Foster.



wg: www.gildia.pl

POWRÓT DO KLASYCZNYCH NAZW

Wydawnictwo Prószyński i S-ka na listopad przygotowało drugie wydanie *Listów* Tolkiena. Różnica między nim a wydaniem pierwszym jest taka, że nastąpiły zmiany w terminologii dotyczącej Śródziemia. Użyte w pierwszej edycji nazwy własne, utworzone na potrzeby polskiego tłumaczenia *Władcy Pierścieni* przez Jerzego Łozińskiego, zostały zastąpione przez nazewnictwo autorstwa Marii Skibniewskiej.

wg: www.gildia.pl



POWRÓT „MIESIĘCZNIKA”

Po dłuższej przerwie wznowione zostało wydawanie eśkaefowskiego „Miesięcznika”. Powrócił on w formule podobnej do wypracowanej przed laty (informacje o nagrodach, recenzje, relacje, Wiadomości Bucklandu, notki o premierach kinowych), choć na razie w skromniejszych rozmiarach (ledwie 20 stron). Liczymy jednak, że niedługo odzyska siły i zaskoczy nas nowymi pomysłami. Tego sobie jako redaktorzy „Informatora GKF” życzymy – bo nic tak dobrze nie zrobi naszemu pismu, jak silna konkurencja. Wersję elektroniczną najnowszego numeru (184) oraz wydań archiwalnych (na razie z lat 1989–2003) „Miesięcznika” można przeczytać na stronie ŚKF.

grzech

DZIWNA BLIŹNIACZKA

Planetę znajdującą się w strefie sprzyjającej występowaniu wody w stanie ciekłym astronomowie odkryli zaledwie 20 lat świetlnych od nas; wygląda jednak na to, iż obraca się ona wokół swej gwiazdy w taki sposób, iż na jednej jej półkuli jest nieustający dzień, zaś na drugiej – wieczna noc.

jpp

POBLISKIE I NIEDAWNE IMPREZY STARWARSOWE

11 września, Bydgoszcz, Wyspa Młyńska (gościem był m.in. sam Dawid Prowse!); 17-19 września, Gdańsk, Park Naukowo-Techniczny (tym razem też można było zobaczyć Vadera w skali 1:1 – ale zbudowanego z klocków LEGO).

jpp

ENDER ZAGRA NA EKRANIE

Rusza produkcja długo oczekiwanej ekranizacji kultowej powieści Orsona Scotta Carda *Gra Endera*! Reżyserem filmu będzie Gavin Hood, który obecnie wprowadza do scenariusza ostatnie poprawki.

wg: www.gildia.pl



FNN – ZAKOŃCZENIE ZDJĘĆ

W Radiówku pod Warszawą zakończyły się zdjęcia do filmu *Felix, Net i Nika* oraz *Teoretycznie Możliwa Katastrofa* w reż. Wiktora Skrzyneckiego.

wg: www.gildia.pl

HOWARD SFILMUJE KINGA

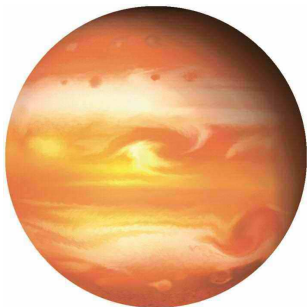
Ron Howard zrealizuje film oraz pierwszy sezon serialu na podstawie cyklu *Mroczna Wieża* Stephen Kinga.

wg: www.gildia.pl

INCEPCJA – GRA?

Myśli o tym poważnie sam Christopher Nolan!

wg: www.gildia.pl



CZEMU NIE WYSTRZELIŚMY „LEONOVA”?

We wrześniu 2010 r. Ziemię i Jowisza dzieliła rekordowo krótka odległość: tylko 558,8 mln kilometrów.

jpp

WRESZCIE NOWY DUKAJ!

Wydawnictwo Literackie przygotowało na listopad nowy zbiór opowiadań Jacka Dukaja *Król Bólu*. Prócz rzeczy już znanych, będą się tam znajdowały również nowości, choćby opowiadania: *Król Bólu i pasikonik*, *Oko potwora*, czy *Piołunnik*.

wg: www.gildia.pl

KINO 5D RÓWNIEŻ W GDAŃSKU

Do kina prezentującego krótkie filmiki wzbogacone o „zewnętrzne” efekty specjalne można wybrać się na terenie handlowej Galerii „Przymorze”.

jpp

XIV FESTIWAL NAUKI

...odbywał się w Warszawie w dniach 18-26 września.

jpp





GDAŃSKA
GALERIA
MIEJSKA

GREENAWAY O POTOPIE

Gdańska Galeria Miejska zaprezentowała ponad 150 rysunków tego reżysera i plastyka – pod wspólnym tytułem „Potop ilustrowany”.

jpp

HUBBLE I IMAX

Dokumentalny film w 3D o najsłynniejszym kosmicznym teleskopie można oglądać na ogromnych ekranach kin sieci IMAX (więc nie w Trójmieście, niestety...).

jpp



SCALENI

Tytuł: The Expendables

Produkcja: USA, 2010

Gatunek: Ludobójstwo

Dyrekcja: Sly

Za udział wzięli: Sly, Arnold, Bruce Willis, Statham, Jet Li, Dolph Lundgren, Eric Roberts, Cordelia, Angel, Randy Couture, Steve Austin, Terry Crews

O co chodzi: Fernandez must die

Jakie to jest: Człowiek jest stworzeniem szczególnym. Jako jedyne na świecie ogląda dla przyjemności śmierć innych przedstawicieli swojego gatunku. Kiedyś miało to formę np. walk gladiatorских, obecnie funkcję tę pełnią filmy pokroju *Expendables*. Będąc zatem prawdziwym człowiekiem z przyjemnością obejrzałem festiwal ludobójstwa, który zafundował nam w swoim dziele Sylvester Stallone.

Powiem szczerze: po ostatnim *Rambo* spodziewałem się, że *Expendables* będzie lepsze. Oczywiście jest to kompletnie inny film, ale można było przypuszczać, że Stallone osiągnął pewien poziom kunsztu filmowego – a tutaj tego nie widać. Generalnie film to jedno wielkie fanvideo i jest tak kręcony. Narracja i tempo to jeden wielki chaos, który tylko dzięki prostactwu „fabuły” jest zrozumiały. Dialogi są katastrofalne, a te w założeniu dowcipne –potwornie wymęczone. Dobre one-linery praktycznie nie istnieją – sztandarowym przykładem jest tu scena pod hasłem „minuta Arnolda i Willisa”, która nie dość że fabularnie absurdalna, to jeszcze opatrzona strasznymi tekstami i cała nakręcona w duchu „Chłopaki, załatwiłem Arnolda na 5 minut do filmu, ale będzie kult!”.

Dialogi dramat, postacie też dramat, jednak *Expendables* to film wielki. Po pierwsze dlatego, że jest pełną i świadomą kwintesencją sztampy kina lat '80. Mamy tu wszystko: napakowani bohaterowie, zły dyktator republiki bananowej, zły agent CIA, egzotyczna laska robiąca za tło, instalacja dziesiątek przyklejanych bomb do późniejszego odpalenia, milion żołdaków do odstrzału i strażnicy strącani wybuchem z wieży. Wszystko to wspaniale typowe i znane do bólu, a jeśli dodać do tego wzmiankowane suche dialogi i nieistniejącą fabułę – otrzymujemy cudowną esencję gatunku, w której żaden element nie wypycha się przed szereg.

Po drugie *Expendables* to absolutnie nasterydowana megaepiczna akcja. Jest to właściwie jedyny przejaw modernizacji klasycznej idei. Montażowa sieczka (w pozytywnym sensie), tempo i choreografia scen akcji (choć kameralnych) naprawdę walą w łeb. Mamy tu takie wspaniałości jak znane z klipów superszybkie rozstrzelanie porywaczy na statku czy bijatyka zakończona efektownym „strzał z guna w nogę i zanim upadnie – drugi w barkę”. Zasadniczo więc, jeśli ktoś jest wrażliwy na ludzką krzywdę, powinien sobie raczej ten film odpuścić.

Z drugiej jednak strony nasi bohaterowie walczą właśnie z ludzką krzywdą, co nadaje przestaniu filmu głębości i wielopłaszczyznowy charakter. Podobny manewr zresztą ten sam twórca zastosował w *Rambo* – widz zostaje tak naepatowany złem czynionym przez złych bohaterów, że z wielką radością obserwuje potem odpłacanie im przez rozstrzeliwanie i ćwiartowanie.

Kultowa w założeniach obsada generuje, delikatnie mówiąc, mieszane wrażenia. Większość ekipy Zużywalnych robi totalne tło dla Stallone'a – tylko Statham wyszarpał trochę dla siebie. W miarę składną postać ma Rourke, chociaż jego definiujący monolog wzbudza raczej radość niż refleksję. Na siłę próbowano dopisać jakieś tło do postaci Jeta Li – i wyszło to dość żałosnie, ale powiedzmy że na poziomie zbliżonym do Joego Pesci z *Lethal Weapon*. Reszta to katastrofa – o Crewsie można powiedzieć tyle, że jest, podobnie jak o również pescipodobnym Couture. Pomijam to,



Trademark: Arnold



Trademark: Wybuchy



Trademark: Latynoska hacjenda



Trademark: "Laska"



Trademark: Muły

że te ostatnie nazwiska pasują do ekipy jak wół do karety (musiałem sprawdzić na Wiki, kto to jest), już Steve Austin jako evil enforcer bardziej pasował. Eric Roberts oczywiście błyszczy – szkoda że błyszczy jedną miną i jednym tonem głosu. Tym niemniej jego wypowiedzi przejdą do chwalebnych annałów najczystszej sztampy rodem z '80s (ponownie w pozytywnym sensie).

Jednak największy dramat to postać Lundgrena; kurde, tak bezsensownego bohatera dawno nie widziałem. Jak to zwykle bywa – Dolph jest właściwie zły, ale to kolega i trzeba mu dać na zgodę. Cały jego wątek jest tak dziwny, że nie zamierzam się rozpisywać – trzeba to zobaczyć. Warto tu nadmienić, że Lundgren, podobnie jak Rourke czy Stallone, pielęgnuje image wg hasła „podstarzały bohater musi mieć fryzurę z przetłuszczonych włosów”, no ale takie widocznie są wymogi estetyczne konwencji.

Laski generalnie w filmach Stallone specjalnej roli nie odgrywały – z wyłączeniem może *Rocky'ego*. Tu jest podobnie: Sły kontynuuje tradycję obsadzania podstarzałych panien z *Buffy*, tym razem w osobie Cordelii, która dzielnie znosi standardową rolę panny z tła. Wspomniana już egzotyczna „piękność” będąca tu ważnym katalizatorem fabularnym pozostaje... ważnym katalizatorem fabularnym. No time for love, Dr. Stallone, time to kick some ass.

Wrażenia Najwspanialszej Dekady Kina dopełniają zdjęcia i widoczki typowych zasyfialych US-alejek, uliczek i estakad będących areną strzelanin i pościgów. Również muza rodem z epoki (albo raczej rodem z lat '90) pięknie bombastycznie wspiera epę na ekranie.

Expendables, mimo wszystkich swoich słabości (być może zamierzonych – ale wątpię), to arcydzieło. Przede wszystkim wspomniane już, autoparodystyczne skopiowanie czystej konwencji z minimalnymi tylko współczesnymi naleciałościami. Mamy tu motywy ze stu klasycznych filmów (z przewagą może *Commando*) i ukoronowanie akcji strzelaniną, gdzie ma miejsce regularna eksterminacja enemy, często nie próbujących nawet stawiać oporu naszej ekipie. Nie ma to za wiele wspólnego ze stylistyczną apoteozą kultu wojownika z *Rambo* – ale i tak zapewnia cholernie dobrą zabawę.

Ocena (1-5):

Imitacja: 5

Kunszt filmowy: 2

Scenariusz: 3

Fajność: 4

Cytat: It's too sad to talk about it.

Ciekawostka przyrodnicza: Wspomniany w briefingu opis akcji „To hell and back” jest jak pamiętamy jednym z 10 tytułów *Rambo*, który chodził Stallone'owi po głowie.

Commander John J. Adams
/www.zakazanaplaneta.pl/

[tytuł od redakcji INFO]

KOMUNIKAT REDAKCJI

Z przyczyn technicznych kolejny odcinek „Subiektywnego przeglądu seriali SF” został przeniesiony do następnego numeru „Informatora GKF”.



PÓŁKA Z DVD

Ciekawy przypadek

Henry'ego DeTamble



Jakkolwiek intrygujący byłby przypadek Benjamin Buttona, przemieszczającego się wstecz w czasie w filmie Davida Finchera, ten wydaje się znacznie ciekawszy, bo nieprzewidywalny. Henry DeTamble, bohater bestsellera Audrey Niffenegger *Zakłęci w czasie* i filmu pod tym samym tytułem, skacze po swojej linii życia jak Billy Pilgrim z *Rzeźni numer pięć* Vonneguta – nie jest to jednak zaburzenie chronologii (jak w obu podanych przykładach), lecz autentyczny *time traveling*.

Każdy chyba myśli, że fajnie jest podróżować w czasie, książka i film przekonują jednak o czymś wręcz przeciwnym. Henry co i rusz znika bez ostrzeżenia, gubiąc po drodze ubranie, by pojawić się jak jakiś Terminator w innym czasie-miejscu i stanąć przed problemem skombinowania ciuchów. Nie mając jednak siły perswazji Arniego, musi polegać raczej na szybkości swoich nóg i talentach włamywacza, co czasem jest skuteczne, a kiedy indziej nie bardzo. Wygląda więc na to, że Henry uprawia mimo woli sport jeszcze bardziej ekstremalny niż *jumping*, o którym kiedyś tu pisałem.

Osią akcji jest romans, trochę podobny do tego z *Ciekawego przypadku Benjamin Buttona*. Henry poznaje Clare mając 28 lat, ona jednak zna go całe życie, bo później będzie ją odwiedzał jako małą dziewczynkę. Kiedy pierwszy raz spotyka go na łące za domem, ma 6 lat, a on objawia jej zza rozłożystego krzewu, że jest księciem z bajki, czyli po prostu podróżnikiem w czasie. Później w tym miejscu będzie zawsze czekało na niego ubranie, a nieco dalej Clare, wypatrująca go cierpliwie z termosem i czymś do zjedzenia, co przedstawiono w symbolicznym uproszczeniu na reproduktowanej poniżej okładce. Ktoś mógłby spytać, skąd wiedziała, którego dnia się go spodziewać. Odpowiedzi, całkiem klasycznej, udziela nam książka. Otóż Clare zapisywała kolejne spotkania w dzienniku, potem 36-letni Henry nauczył się na pamięć wszystkich dat, by przy najbliższej wizycie w przeszłości jej to podyktować. Nic prostszego, prawda?

W tego typu opowieściach zawsze najbardziej interesujące jest śledzenie, jak autor radzi sobie z paradoksami czasowymi. U Niffenegger przeszłość i przyszłość są niezmiennie; jeśli podróżnik w czasie zaobserwował, że coś się wydarzyło lub też się wydarzy, żadna siła nie jest w stanie tego cofnąć. Nasz bohater próbował – niezliczoną ilość razy wracał do momentu wypadku samochodowego, w którym zginęła jego matka, a on sam ocalał dzięki przeskokowi czasowemu. Bezskutecznie – mógł jedynie pocieszyć swą dziecięcą wersję dygoczącą z zimna i strachu na poboczu, ponieważ tylko to młodszy Henry przeżył i zaobserwował.

Co interesujące: przyjęte w książce i w filmie założenia są zbieżne z wynikami badań nad prekognicją, o których kiedyś czytałem. Otóż według nich w każdą wizję przyszłości wkalkulowana jest zawsze nasza wiedza o tej wizji, wraz z ewentualną niezgodą i chęcią przeciwdziałania. Z kolei tego, co dałoby się zmienić, po prostu nie można zobaczyć – lub też wizja jest na tyle niedokładna, by nie doprowadzić do sprzeczności. Dobry przykład na to znajduje się, o dziwo, w książce *Zakłęci w czasie*. Pewnego razu Henry obserwuje na łące, jak młoda Clare sporządza rysunek, który, jak pamięta, wisi na ścianie w ich przyszłym domu. Autorka stawia datę u dołu, a Henry protestuje, mówiąc, że na tym szkicu nie ma żadnej daty. Boi się wręcz, że coś złego się

stanie (koniec świata? kolaps czasowy? nalot CBA?). Po powrocie do domu okazuje się jednak, że rysunek został obcięty na dole przez Clare, która wzięła sobie do serca niepokój Henry'ego, tak więc w końcu rzeczywiście nie ma na nim daty. Wszystko zatem jak gdyby dobrze się skończyło, tylko że ta data to 11 września 1988, a po dodaniu pechowej trzynastki...

W powieści, będącej opasłym dziełem (640 stron po polsku), jest znacznie więcej takich smaczków, z których w filmie z oczywistych powodów należało zrezygnować. Scenarzysta Bruce Joel Rubin (którego kiedyś zjechałem za *Mimzy* i Kuttnera) spisał się tu po mistrzowsku, tworząc prostą i przejrzystą historię, emocjonalnie równoważną oryginałowi. Tym bardziej interesujące jest wypunktowanie różnic. Przede wszystkim książka zmienia nieustannie narratora, co w tym specyficznym przypadku powoduje, że chronologia staje się wysoce umowna. Odnosi się wrażenie (pewnie jednak mylne), że można przetasować rozdziały bez szkody dla całości. Film natomiast zachowuje linearność, gdyż akcja jest podporządkowana osobistej chronologii Henry'ego.

Twórcy filmu zrezygnowali z prawie wszystkich scen, w których nasz podróżnik spotyka sam siebie, a już zwłaszcza z tych, w których sam ze sobą uprawia seks (niebanalny pomysł, prawda?). Również epizod, gdy Clare zdradza (jeśli można to tak nazwać) Henry'ego z jego młodszą wersją, pokazano mniej szokująco, bo w układzie jeden na jeden, a nie ze starszym Henrym śpiącym obok nich, jak było w powieści (to właśnie tej nocy została poczęta ich jedyna córka, Alba).

Inną sprawą jest rezygnacja z pewnych wątków pobocznych, jak była dziewczyna Henry'ego czy bliższe przyjrzenie się jego przyjacielowi Gomezowi. Dziwne jest już to, że Gomez to skrót od nazwiska Gomoliński. Jednak w filmie jest to normalny facet z drugiego planu, za to w powieści... Dość wspomnieć, że nosi koszulkę z napisem *Solidarność*, reagując jednocześnie na ksywkę „towarzyszu” i nawołując do rewolucji proletariackiej w wydaniu trockistowskim. Piękny, kliniczny przypadek rozdwojenia jaźni*) lub raczej piękny, kliniczny przypadek amerykańskiej perspektywy.

Wróćmy jednak do Henry'ego i Clare. Ich związek jest pełen niespodzianek, a jej życie – oczekiwania. Najpierw poznaje starszą wersję swego mężczyzny, potem po dłuższej przerwie młodszą, ślub bierze ze starszą wersją, bo młodszą gdzieś się zapodziała, ten z kolei znika w noc poślubną, by wrócić nad ranem... Na domiar złego przypadłość Henry'ego okazuje się dziedziczna i niedonoszone płody wędrują sobie, gdzie chcą, co z braku innej terminologii nazwano poronieniami. Dopiero Alba okazuje się zdolna do powściągliwości i kontroli swego daru, rodzi się zdrowa, po czym podróżuje tam, gdzie sama zechce. Jest więc, być może, następnym szczeblem ludzkiej ewolucji.

Talent Henry'ego, niestety, nie poddaje się kontroli, nawet przy użyciu pomocy córki. Co gorsza, doprowadza go on w końcu do utraty stóp (w książce), a następnie życia. Gdy pewnego razu widzi śmierć swojej starszej wersji, staje się ona faktem, przesądzonym i nieuchronnym. Ale to nie koniec tej historii, nie TAKIEJ. Mimo że Henry dawno leży w grobie, jego młodsze wersje nadal chodzą po świecie, w sposób nie kontrolowany i przypadkowy. Czasem uda się z nim porozmawiać, zanim zniknie, jeśli biegnie się dostatecznie szybko w jego kierunku. Czekanie więc, jak widać, nigdy się nie kończy, jeśli jest się żoną podróżnika w czasie.

Andrzej Prószyński

P. S. Twórcy filmu twierdzą, że to nie SF, tylko historia miłosna. Z tym drugim się zgadzam; ale jeśli to nie fantastyka naukowa – to co nią wtedy jest?

*) Coś podobnego opisała radiowa Trójka za pierwszej Solidarności. W jednym z odcinków serialu *Z pamiętnika młodej lekarki* pacjent narzeka: ...a jak, co nie daj Boże, jest sztrajk, to się zaraz odcinam, ale opaskę zakładam. Na co lekarka: Jaś się panu rozdziwiła. Jaś to jest to, co ma pan w środku pod względem psychologicznym.

Zakłęci w czasie

The Time Traveler's Wife (2009)

oceny: FilmWeb 7,58/10, IMDb 7,1/10

produkcja: USA

gatunek: dramat, romans, SF

reżyseria: Robert Schwentke

scenariusz: Bruce Joel Rubin

zdjęcia: Florian Ballhaus

muzyka: Mychael Danna

czas trwania: 103 min.

Obsada:

Rachel McAdams (Clare Abshire)

Eric Bana (Henry DeTamble)

Brooklyn Proulx (Młoda Clare)

Alex Ferris (Młody Henry)

Hailey McCann (Alba)

Michelle Nolden (Annette DeTamble, matka)

Arliss Howard (Richard DeTamble, ojciec)

Maggie Castle (Alicia Abshire, siostra Clare)

Philip Craig (Philip Abshire, ojciec Clare)

Jane McLean (Charisse, przyjaciółka Clare)

Ron Livingston (Gomez, chłopak Charisse)

Joan Barrett (Clare Abshire w wieku 80 lat)

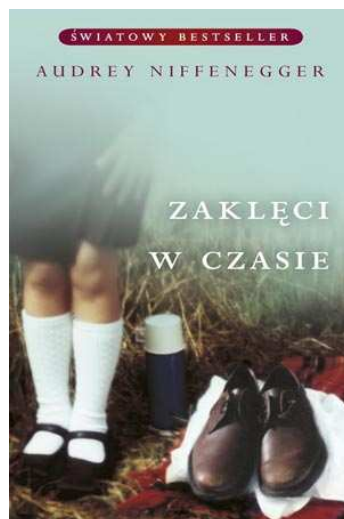
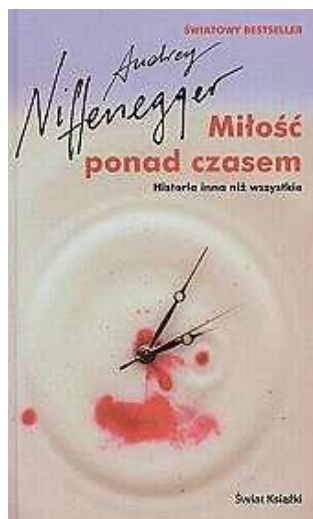
(ta ostatnia postać jest w książce, lecz nie ma jej w filmie, więc pewnie poszła pod nożyce)



Audrey Niffenegger, The Time Traveler's Wife, San Francisco 2003

(Miłość ponad czasem / Żona podróżnika w czasie, Świat Książki, Warszawa 2004 / 2007,

Zakłęci w czasie, tłum. Katarzyna Malita, Nowa Proza, Warszawa 2009)



SATYSFAKCJA MIMO ZASTRZEŻEŃ

„Dom burz”, Ian R. MacLeod

Wieki światła MacLeoda były jedną z najlepszych książek 2006 roku. Nie dziwi więc, że po kolejnej, choć fabularnie i charakterologicznie niezwiązanej z nimi, powieści tegoż autora spodziewałem się wybitnego osiągnięcia. **Dom burz** – choć do końca nie spełnił pokładanych nadziei – był jednak bardzo przyjemną lekturą.

Alternatywna historia Anglii, po raz pierwszy przedstawiona w **Wiekach światła**, ma tutaj swój dalszy ciąg. Mniej więcej wiek po wydarzeniach opisywanych już przez MacLeoda naeteryzowana rzeczywistość wciąż stanowi o sile napędowej tego fikcyjnego świata. Pewnej zmianie i lekkiej poprawie uległo traktowanie Odmieńców, osób negatywnie dotkniętych przez magię eteru, przez resztę społeczeństwa, lecz wciąż są oni odrzutkami. Krajem nadal rządzą potężne Gildie oparte na magii eteru, a najpotężniejszą z nich jest Cech Telegrafistów. I właśnie Arcycechmistrzyni tego cechu – niezwykle inteligentna i bardzo urodziwa Alice Meynell, a przy tym kochająca matka – przybywa wraz ze swym śmiertelnie chorym synem na obrzeża Anglii, do zapomnianej rezydencji w Invercombe. Pełna desperackiej nadziei w możliwość przywrócenia zdrowia synowi – dopina swego, popełniając przy tym kilka kolejnych, złych, uczynków.

Wielkim przegrany **Domu burz** jest fabuła. Wydaje mi się, że MacLeod chciał przekazać wiele celnych obserwacji o społeczeństwie, jednak na drodze ku temu stanęło, dosyć zaskakujące, przełamanie całości posiekanymi wątkami historii dwojga zakochanych za młodu oraz owocu ich nastoletniej miłości. Nawet jeśli taki układ powieści uznać za w pełni zrozumiały i uzasadniony opowiadaną historią, to – posługując się koślawą metaforą – można powiedzieć, że zawiodła spoina utrzymująca **Dom burz** w nienaruszonej całości. Gdyby nie złe wprowadzony wątek Klyde’a, książkę można by uznać za równą **Wiekom światła**, które może i miały swoje słabe strony, ale całościowo broniły się o niebo lepiej.

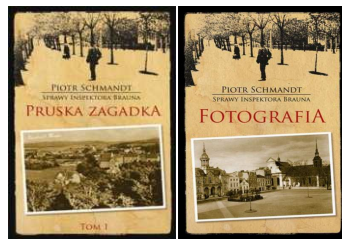
W dalszym jednak ciągu siła pisarstwa MacLeoda tkwi w precyzyjnej urodzie języku, jakim się on posługuje. Fraza, niespieszne tempo i umiejętność wytworzenia właściwego nastroju – to dla mnie najważniejsza cecha jego pisarstwa. Minęło parę miesięcy odkąd ukończyłem lekturę, a wciąż mam przed oczami dolinę Invercombe otoczoną lekką mgiełką i poświatą. I z tym mi się MacLeod kojarzy – jak filmy kręcone przy użyciu odpowiedniego filtra, tak i jego proza sprawia, że świat, który kreuje, nabiera pewnej nierealności w samej warstwie językowej.

Drugim elementem ratującym powieść są postacie. Zarówno te drugoplanowe, przewijające się często tylko na kilku stronach, ale naznaczające sobą powieść, jak i te dominujące. I tu absolutnie wybijają się demoniczna, niemal żywcem przeniesiona z szekspirowskich dramatów, Alice Meynell. W przeciwieństwie do swego miłkiego syna (zapewne wychodzą tu moje samcze uprzedzenia w stosunku do takich postaci), kradnie jej powieść. Choć to nie ona jest główną bohaterką, to nieustannie czuć jej złowieszczą obecność. Niemal perwersyjna przyjemność.

Tak więc – jest **Dom burz** utworem słabszym od **Wieków światła**, a jednak... uwodzi.



Dwie sprawy inspektora Brauna



Opowieść kryminalna sensu stricto (detektyw mozolnie rozwiązujący zagadkę) na wiele lat wyraźnie ustąpiła pola historiom sensacyjnym (pościgi, strzelaniny, mordobicia). Ale ostatnimi czasy klasyczne „kryminały” zaczynają przeżywać wyraźny renesans. Przykładem może być chociażby ogromna popularność detektywistycznych utworów rodem z nieodległej Skandynawii. Z polskich powieści wielkim hitem okazały się „kryminały retro” o mrocznych tajemnicach przedwojennego – i niemieckiego wówczas – Wrocławia.

Czy podobną popularność można wróżyć tworzącej się serii „prowincjonalnych kryminałów” o inspektorze Ignazu Braunie – autorstwa Piotra Schmandta? Jak na razie na cykl *Sprawy inspektora Brauna* składają się dwie powieści: wznowiona jakiś czas temu *Pruska zagadka* oraz mająca wakacyjną premierę *Fotografia*. Akcja obu utworów toczy się w Wejherowie w pierwszej dekadzie XX wieku – za trwającego w najlepsze zaboru pruskiego.

Na przeczytanie pierwszego wydania *Pruskiej zagadki* dziwnie nie miałem ochoty. Może spodziewałem się jakiegoś pobieżnie naszkicowanego zarysu powieści; może zniesmaczył mnie dość rzeźnicki kształt zbrodni; może nie zachęcała niezbyt efektowna okładka... W każdym razie – po kryminalną twórczość pracownika wejherowskiego muzeum sięgnąłem dopiero w wydaniu „seryjnym” (bardzo zresztą starannym i efektownym).

I spotkało mnie miłe zaskoczenie. Pod wieloma względami. Postaram się krótko napisać o tym wszystkim – nie zdradzając oczywiście kryminalnej intrygi oraz pointy.

Obraz miasta sprzed dobrych stu lat. Sądzę, że został on oddany z iście muzealną dokładnością. Wielu opisywanych miejsc już nie ma, inne zmieniły diametralnie swój wygląd, część charakterystycznych budowli jeszcze nie powstała. Ciekawie wędruje się po Grodzie Wejhera (ograniczonym wtedy do obszaru dzisiejszego centrum) epoki gazowych latarni i naftowych lamp, niemieckojęzycznych napisów, wielonarodowego gwaru. Będąc jeszcze w trakcie lektury przechodziłem któregoś wieczora przez rynek – i, spojrzawszy w głąb deptaka, poczułem się dziwnie, że nie widzę panów w melonikach, pań w długich sukniach, drewnianych szyldów nad sklepami...

Typy ludzkie. Postacie naszkicowane może nieco grubą kreską – są jednak wyraziste i urozmaicone; pasują zarówno do obyczajowego obrazu wielokulturowego miasta w epoce zaborów, jak też do kryminalnej układanki z różnych ludzkich namiętności i motywacji. Pamiętam, oglądając przed laty w oliwskim spichlerzu, wystawę rodzinnych fotografii z tamtego okresu – uderzyło nas wtedy z Żoną jedno: poczucie godności, stabilności i zasad bijące z twarzy portretowanych ludzi. Podobna jest (mimo drobnych słabostek i grzeszków) większość postaci z powieści Schmandta; tym większym naruszeniem – zdawałoby się niezmiennego! – porządku jest dla nich zetknięcie się z ponurą zbrodnią. Ciekawie wypada też wątek polskości w dobie Kulturkampf: nie jest on forsowany na siłę, ale powoli i delikatnie wyłania się z tła (co wywiera chyba mocniejsze wrażenie niż jakaś nachalna propaganda od razu na dzień dobry). Poza tym – oprawcy z lasu piśmiennego dopiero mieli się narodzić, a ludobójcze praktyki nazistowskich szumowin nie przyszłyby do głowy nawet najzjadliwшему hakatyście.

Wątki kryminalne. Tu najmniej wolno mi napisać. Mogę jednak zapewnić, iż wyjaśnienie wszystkich okoliczności danej intrygi do najprostszych nie należy. Sympatycznie przedstawiony jest też sam inspektor Ignaz Braun (nazwisko odziedziczył ponoć po autentycznym berlińskim śledczym prowadzącym rzeczywistą sprawę w Chojnicach, imię zaś – po pradziadku pisarza). Widać również, że autor stara się, zgodnie z gatunkową konwencją, wyposażać go w różne charakterystyczne przyzwyczajenia i słabostki. Podobały mi się także wspominki berlińskiego śledczego z jego innych spraw kryminalnych prowadzonych w różnych zakątkach Rzeszy (nader barwne przydomki kolejnych morderców-psychopatów!).

Natomiast w pierwszy piątek września odbyły się w wejherowskim pałacu promocja i wieczór autorski drugiej powieści – *Fotografii*. W dyskusji nie obyło się bez porównania obu książek.

Pierwszą z różnic łatwo zauważyć. Wpada ona w oko podczas czytania, mówiono o niej też podczas rzeczowej imprezy. *Pruska zagadka* to, jak zresztą napomknąłem wyżej, istny kalejdoskop społeczny: mamy w nim zamożnych Niemców, diasporę żydowską, autochtonicznych Kaszubów, pruskich urzędników i innych funkcjonariuszy publicznych, a nawet przedstawiciela prawdziwej arystokracji. W *Fotografii* – przedstawione środowisko uległo wyraźnemu zawężeniu: to głównie ewangelicy narodowości niemieckiej. Zbyt rzuca się to w oczy, by mogło być przypadkiem! Potwierdził to podczas wieczoru autorskiego Piotr Schmandt. Zaakcentował coś jeszcze: grono podejrzanych w *Fotografii* stanowią nie rdzenni wejherowianie (jak miało to miejsce w *Pruskiej zagadce*), ale osoby od niedawna w tym mieście mieszkające (w rodzaju bogatych rentierów) – czy wręcz będące w tej części ówczesnych Zachodnich Prus przejazdem (np. w interesach). Taki zamysł autorski pozwolił na wyraźniejsze zróżnicowanie obu powieści.



Wiąże się z tym jeszcze jedna kwestia, również omówiona we wrześniowy piątek przez pisarza: tło topograficzne i społeczne. Pierwsza z powieści była zarówno wciągającym kryminałem, jak też fascynującą panoramą Wejherowa ostatnich dekad epoki kajzerowskiej. Stąd tyle ludzkich typów i historycznych miejsc – a także grubość książki. Druga powieść, o połowę cieńsza (w sensie gabarytów), jest przede wszystkim, mimo staroświeckiej scenerii, konwencjonalnym kryminałem. Nie mogłaby już bowiem, jak zauważył sam autor, powtarzać tych samych informacji; a Wejherowo – to przecież nie Londyn, w którego przypadku można by przenieść akcję po prostu do innej dzielnicy. Pojawia się jednak w *Fotografii* nowe i wyraziste miejsce: Kaplica Ukrzyżowania z symbolicznym „pęknięciem” w tylnej ścianie. Mamy też krótki wypad poza Gród Wejhera – do Sopotu.

Podczas wieczoru autorskiego Piotr Schmandt potwierdził swoją fascynację klasycznym kryminałem anglosaskim (z akcentem na „anglo”). Widać ją zresztą w obu powieściach. Ignaz Braun zaczytuje się brytyjskim Conan Doyle’em (jakoś nie wspominał amerykańskiego Poego), konstrukcja obu powieści nasuwa zaś na myśl kryminały Agathy Christie. W obu utworach mamy żmudne przesłuchania potencjalnych podejrzanych; tym zresztą klasyczny kryminał różni się gatunkowo od pełnej awantur opowieści sensacyjnej. W finale pierwszej powieści inspektor zaprasza (niczym Hercules Poirot) wszystkich zamieszanych w zabójstwo gimnazjalisty na wspólne wyjaśnienie zagadki. Druga zbrodnia w specyficzny sposób ogranicza grono podejrzanych, wśród których musi kryć się morderca; wprawdzie towarzyskie przyjęcie to nie statek na Nilu ani nie Orient Express, jednak gdyby zabójca fotografa okazał się kimś z zewnątrz – byłoby to swoiste złamanie gatunkowej konwencji.

Nieco więcej o kryminalnych zagadkach (acz bez spoilerów). Finał pierwszej powieści pozostawiał pewien niedosyt; chociaż oczywiście widać było, iż wynika to z zamysłu autora: dowiadujemy się, kto zabił gimnazjalistę – ale on sam swą mroczną tajemnicę zabrał ze sobą do grobu. Może to ukłon w stronę autentycznej zbrodni w Chojnicach (której to zagadki prawdziwy policjant z Berlina nie rozwiązał); może ponadgatunkowa refleksja pisarza, że nie wszystko da się stuprocentowo wyjaśnić (to sugerowałaby rozmowa inspektora i komisarza na cmentarzu ewangelickim w *Fotografii*); może też Schmandt chciał uniknąć banału (bardziej niepokojące jest zastanawianie się, coż tak straszego lub fascynującego nieszczęśny młodzieniec zobaczył w okolicach kalwarii – niż otrzymanie opisu tego na tacy). Wspomniałem o Sopocie. Dodam tylko, że to od krótkiej wizyty w tym kurorcie akcja *Fotografii*, dotąd sennie powolna (jeśli nie liczyć zauważalnej perwersyjności części przesłuchiowanych postaci), nabiera wręcz szaleńczego tempa oraz swoistego „nerwu”.

Cóż jeszcze dodać... Podczas wieczoru autorskiego zapytano pisarza o przedstawione w obu powieściach środowiska. Schmandt odpowiedział, że pominął jeszcze dwa – wyraziste, autentyczne i interesujące – czyli niemieckich katolików oraz masonerię. Może nawiąże do nich, gdy *Sprawy inspektora Brauna* staną się trylogią; ciekawe zresztą, czy miejscem akcji będzie nadal Wejherowo (a może Puck, Lębork lub Kartusy)? Skoro już o różnych środowiskach mowa: posterunkowy Myszk, postać drugoplanowa w *Pruskiej zagadce*, w *Fotografii* staje się postacią epizodyczną; jednak jedna kwestia w jego kaszubskim domu nabiera wyrazistości: jego syn zaczyna mocno angażować się w działalność patriotyczną. Może w kolejnej powieści w większym niż dotąd stopniu pojawią się Polacy – i to akurat ci przechowujący w sercach „skrę Ormuzdową”?

Mam zresztą szczerą nadzieję, że – wydawane przez sopocką oficynę – powieści Piotra Schmandta zaistnieją w odbiorze czytelnicznym także w regionach odległych od Pomorza...

Promocja książki i wieczór autorski przemknęły zbyt szybko, by był czas zapytać o wiele różnych rzeczy (ówczesne Sopot i Gdynia, plany pisarskie, sprzedaż powieści w głębi kraju); spytałem jedynie, podczas wpisywania indywidualnych dedykacji, o plastikowy kołnierzyk inspektora – okazało się oczywiście, że już takowe produkowano!

PiPiDżej



Okruchy Ogona

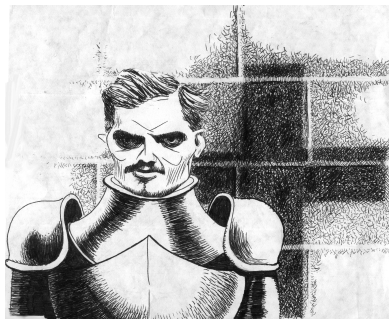
Korespondencja nr 13

Dwie apokalipsy

Napisana w roku 1973 powieść Jeana Raspaila „Obóz świętych” (tytuł odsyła nas do Apokalipsy św. Jana) to proroctwo o zbliżającym się (bo mającym nastąpić pod koniec XX wieku) upadku świata białego człowieka. We wstępie do książki Rafał Ziemkiewicz zauważa, że przepowiednie na temat nieodległej przyszłości są dla proroka bardzo niewygodne, bo jeśli się nie spełnią, to zostanie on wykpiony – ale gorzej jeszcze, kiedy się potwierdzą. W takiej sytuacji czeka go podwójne odrzucenie: przez współczesnych (bo proroctwa najczęściej idą pod prąd trendom swojej epoki), a następnie przez potomnych, dla których świat spełnionej przepowiedni będzie ich własnym.

Czy z perspektywy XXI wieku można mówić o trafności przepowiedni Raspaila? W pewnym sensie tak. Co prawda nie nastąpiła inwazja miliona hinduskich emigrantów (oczywista oczywistość, że to była tylko metafora), ale migracja przedstawicieli tzw. Trzeciego Świata do Europy trwa nieustannie. Z Maroka do Hiszpanii ludzie płyną dosłownie na „bele czym”, by tylko dotrzeć do brzegów europejskiego raju (wstrząsającą opowieścią o tym zjawisku jest reportaż Klausa Brinkbauera „Afrykańska odiseja”).

Upadek Europy w powieści Raspaila nastąpił jednak nie tylko z powodu niespodziewanej wizyty miliona niechcianych gości. Główną przyczyną było to, że powieściowi Europejczycy zatracili instynkt samozachowawczy i w imię obłąkańczych liberalnych ideologii ochoczo zafundowali sobie los ofiar. Fałszywie pojmowana solidarność, wypaczone nauczanie Kościoła i ideologiczna pułapka republikańskich świętości (wolność, równość, braterstwo) prowadzą do całkowitego rozpadu społeczeństw Zachodu (rozumianego jako świat białego człowieka). Wszelkie próby zwierania szeregów



są zawczasu odsądzone od czci i wiary przez postępowe media oraz pozostające na ich usługach łże-autorytety – i nie udają się z powodu atrofii woli ich urobionych przez środki masowego przekazu wykonawców. W „Obozie świętych” nie brak postaci, które (nawet wbrew sobie) nie przestają głosić modnych i politycznie poprawnych haseł, chociaż dobrze rozumieją, że konsekwencje ich zrealizowania będą katastrofalne dla społeczeństwa. Ale skoro się powiodło A, to nie można już nie wymówić następnych liter z postępowego alfabetu.

Depozytariuszami tradycyjnych wartości, którzy próbują z godnością zejść ze sceny, bo ich świata nic już nie ocali, są osoby wyrzucone na margines ponowoczesnego społeczeństwa. A jest to galeria zaiste osobliwa, gdyż znajdują się w niej między nimi dystygnowany profesor literatury, dziennikarz krzewiący idee narodowe, żołnierze gotowi wypełnić do końca swoje obowiązki, ale także hinduski zasymilowany imigrant, alfons porzucony przez swój fraucymer i wiekowy baron, świecki członek rycerskiego zakonu, mający słabość do nastoletniej pracownicy alfonsa.

Jak zwykle u Raspaila mamy do czynienia z eseistyczną, pozbawioną ozdobników narracją. Jej podmiotem nie jest jakaś jedna postać, czy nawet grupa bohaterów, ale odchodzący porządek świata. W tym sensie jest to literatura zbliżona do fantastyki, zwłaszcza tej, której głównym tematem są mechanizmy rządzące światem i historią. Śmiało można zestawiać z nią choćby „Burzę” Parowskiego – z podobnie wątlą fabułą i bez wyrazistych postaci, ale za to z dyskursywnym zacięciem. Podobna jak u Raspaila jest również sytuacja bohatera opowiadania „Kaloryk” Paolo Bacigalupiego z drugiego numeru „F&SF. Edycja polska”. Ten hinduski imigrant opuścił swój subkontynent jak wielu z jego

rodaków, szukając miejsca, gdzie nie będzie głodu, a flota ostatniej szansy z „Obozu świętych” wyruszyła do Europy w tym samym celu.

Na marginesie tej krótkiej notki warto odnotować niestandardową reakcję prezydenta Francji na wyzwanie rzucone państwu przez cygańskich emigrantów. Deportacyjna akcja to coś, na co w świecie powieści Raspaila nie zdecydowałby się żaden polityk i czego nie poparłaby żadna gazeta. Takie zachowanie władz jest dla Europejczyków jakimś światłem w tunelu. Myślę, że akurat ten krok Sarkozy'ego spotkałby się z pochwałą Raspaila. Jeszcze raz potwierdziła się jego obserwacja, że zasymilowany imigrant potrafi przytomniej ocenić zagrożenia rzeczywistości niż republikański ideolog.

* * *

Długo wyczekiwana najnowsza powieść Tomasza Kołodziejczaka „Czarny Horyzont” przynosi wizję apokalipsy, którą Europie Zachodniej zafundowała nie obca cywilizacja, ani nawet nie najazd nieprzeliczonych rzesz emigrantów, tylko inwazja magii z innego wymiaru rzeczywistości. Kto pamięta powieściowy cykl Moorcocka o Wiecznym Wojowniku, ten jest oswojony z wizją wszechświata, w którym każdy ze światów ma po kilka różnych planów (realny, duchowy itp.), do których przenikać mogą

jedynie istoty stojące najwyżej na drabinie bytów lub posiadające odpowiednie artefakty (ot chociażby taki miecz Zwiastun Burzy).

W opowieści Kołodziejczaka istoty, które w wyniku magicznej katastrofy przeniknęły do naszego świata, jako żywo przypominają stworzenia ze znanych fantatom powieści: rolę najeźdźców odgrywają zaborczy barlogowie, natomiast ludzkość w walce z nimi wspierają elfy. Co ciekawe, osiadłe w Polsce elfy przyjmują chrzest i stają się wiernymi synami Kościoła. Pomysł Kołodziejczaka nie ogranicza się jednak tylko do sprzęgnięcia obronnej magii elfów z katolicką mistyką, ale także innymi wynalazkami ludzkości, np. zaawansowaną informatyką. Niemniej ważne są również polskie historyczne doświadczenia – symbolika religijno-patriotyczna jest głównym składnikiem magicznych egid broniących przed atakami czarnych. Z kolei napastnicy wykorzystują to, co się Polakom najgorzej z historii kojarzy (np. symbole hitlerowskie).

„Czarny horyzont” to lekka, przyjemna lektura, pomysłowa i trzymająca w napięciu. Brak jej może tej proroczej siły, którą ma powieść Raspaila – ale jeśli potraktować wizję Kołodziejczaka jako swego rodzaju ostrzeżenie, to należy z modernizacją postępować ostrożnie, bo być może przyjdą na nas takie terminy, że jedynie tradycyjna wiara nas ocali.

Moje spotkania z noblistą, czyli humor, satyra i kolejna apokalipsa

W tym roku po raz pierwszy od bardzo dawna Literacką Nagrodę Nobla przyznano twórcy, co do którego nie ma wątpliwości, że jest wybitnym pisarzem. Na dodatek Mario Vargas Llosa to bodaj pierwszy laureat, którego twórczość nie jest mi obca (nie liczę tu Szymborskiej, bo gdyby nie przymus szkolny, to bym jej poezji nie czytał). Nie będę utrzymywał, że znam dorobek Peruwianczyka bardzo dobrze, ale przeczytałem sześć jego powieści, a lektura połowy spośród nich to była prawdziwa przyjemność! Wagi temu wyznaniu niech doda fakt, że jako zdeklarowany fan fantastyki za literaturą głównego nurtu – a w niej zwłaszcza za prozą realistyczną – nie przepadam i z założenia jej nie cenię. Taki już jestem ograniczony, żeby nie powiedzieć... wybiórczy (tfu!).

Z Vargasem Llosą też mam swoje porachunki, ostatecznie to przecież antyklerykał. Jednak kiedy parę lat temu podjąłem hero-

iczną próbę przełamania niechęci do głównego nurtu, to właśnie po jego twórczość sięgnąłem.

Tu drobna dygresja, żeby nie wyszło, że jestem zupełnym ignorantem. W literaturze bezprzymiotnikowej mam kilku ulubieńców, że wymienię chociażby Robera Nye'a, Miodraga Bulatovicia, Umberta Eco i wspomnianego powyżej Jeana Raspaila. Wszystkich ich jednak łączy to, że się założeniami literackiego realizmu nie przejmują: Nye i Eco parają się raczej literaturą autoteliczną, Bulatović wprowadza do swoich utworów zdarzenia i postaci rodem z fantastyki zupełnie bezwstydnie, a Raspail pisze powieści-eseje o kondycji współczesnego świata z bliskich mi konserwatywnych pozycji. Taka proza czyta się po prostu sama, nie można więc jej traktować jak typowych utworów najgłówniejszego z głównych nurtów.

O tym, że wybrałem Llosę na łącznika z literaturą bezprzymiotnikową, zadecydowało

to, że polecała mi go moja żona i mieliśmy na półkach kilka jego książek, a dodatkowym impulsem była znakomita – jak mi się przed lekturą wydawało – adaptacja jego powieści „Ciotka Julia i skryba”. Właśnie tę powieść, obok równie przeżabawnego „Pantaleona i wizytantek” oraz – dla odmiany – śmiertelnie poważnej – „Wojny końca świata” cenił sobie w twórczości Peruwiańczyka najbardziej. Natomiast komplementowana przez krytyków i wielu czytelników „Rozmowa w »Katedrze«” rozżłościła mnie, ale przede wszystkim – zanudziła. Równie znużonym i na dodatek niewzruszonym pozostawiły mnie powieści „Gawędziarz” oraz „Kto zabił Palomina Molero?”.

Nie będę PT. Czytelnikom zwracał głowy narzekaniem na tytuły, które mi do gustu nie przypadły, skupię się jedynie na moich ulubionych.

„Ciotkę Julię i skrybę” rozreklamował Hollywood oraz Keanu Reeves (znany również jako Neo) na spółkę z Peterem Falkiem (pseudonim Colombo). Ale ta adaptacja do pięć nie dorasta oryginałowi, a na dodatek wypacza niektóre sensy powieści. Dosyć wiernie relacjonuje wątek kazirodzkiego związku bohatera z ciotką, ale nie mniej istotne losy skryby (postaci bądź co bądź tytułowej) zostały już mocno zniekształcone. Pomijam fakt, że czarnymi charakterami tworzonych przez niego radiowych powieści w odcinkach producenci uczynili Albańczyków (u Losy są nimi Argentyńcy), to zupełnie pomija tragizm tej postaci – kompulsywnego grafomana, który tworząc kilka słuchowisk jednocześnie, odreagowuje swoją własną nijałość, która sprowadziła na niego życiową klęskę – uwiedzenie żony przez Argentyńczyka. Ta nadproduktywność owocuje całkowitym rozpadem jego osobowości (twórczej – bo przestaje panować nad bohaterami i fabułami oraz psychicznej – bo po prostu fiksuje). Wszystko to zostało opowiedziane w sposób lekki, skrzy się niewymuszonym humorem i jest smakowitą lekturą na długie jesienne wieczory! Niemniej zabawy w tej przykrej porze roku, która się właśnie zaczęła, dostarczy historia Pantaleona Pantojy – porucznika intendenty. Pantoja jest doskonałym wytworem armii, która uczyniła z niego intendenta doskonałego, kogoś, kto wykona najbzdurniejszy nawet rozkaz, a na dodatek tak się do niego zapali, że oderwać od jego realizacji będzie mógł go tylko przysłowio-

wy granat. Podobnie jak wspomniany skryba jest on bowiem człowiekiem bez własnej treści i to rozkazy dowództwa wypełniają jego pustą formę. W spełnianiu ich jest jednak niedościgły, bo nie miewa żadnych wątpliwości co do ich sensu, a jedyne, czym się przejemuje, to wykonanie ich najlepiej, jak się da. W swej gorliwości przekracza jednak granice rozsądku. Organizując służbę wojskowych markietanek dla żołnierzy z odległych garnizonów, tworzy jedyny w swoim rodzaju burdel nie tylko zresztą na kółkach, ale również fruwały i latający.

W dodatku zarządzany tak sprawnie i posiadający personel o takich walorach, że budzi zazdrość wszystkich alfonsów w Peru. Powieść ta zainspirowała swego czasu ówczesnego Prezydenta Fandomu Polskiego Krzysztofa Papierkowskiego, który powołał na naszym fantastycznym gruncie podobną służbę, mającą swą opieką otoczyć szukających natchnienia muz polskich autorów sf. Jeśli mnie pamięć nie myli, nie została ona jednak ostatecznie sformowana. Niedościgły organizator życia fandomowego komandor Papierkowski zawiódł tam, gdzie zwykły peruwiański porucznik odniósł niebawomy sukces.

„Wojna końca świata” to historia chłopskiego buntu, który miał miejsce w Brazylii pod koniec XIX wieku. Prości mieszkańcy brazylijskich pustkowi, zasłuchani w nauki wędrownego kaznodziei zwanego Nauczycielem, nie chcieli się zgodzić na progresywne reformy rządu świeżo powstałej republiki (m.in. rozdział Kościoła od państwa, śluby cywilne i reforma podatkowa) i wystąpili przeciw nim. W pewnym momencie liczba buntowników sięgnęła kilkudziesięciu tysięcy i pojawiły się obawy o zachowanie integralności państwa (w grę wchodziła jeszcze restauracja monarchii). Aby płomień buntu nie rozlał się po całym kraju, postanowiono użyć wojska. Kolejne karne kampanie ponosiły spektakularne klęski, dopiero rzucenie przeciw wieśniakom znacznej części lądowej armii republiki dało rządowi sukces, okupiony jednak potworną ceną. Apokaliptyczny charakter tej historii sprowadza się m.in. do tego, że wraz z rzezią Canudos – tak nazywała się osada powstańców – zginął porządek świata, który był dla nich zrozumiały. To, co oferowała im republika, stanowiło całkowite zaprzeczenie wyznawanych przez nich wartości i nie przypadkowo kojarzyło im się z nadejściem Antychrysta. Po katastrofie smoleńskiej i warszawskiej bitwie

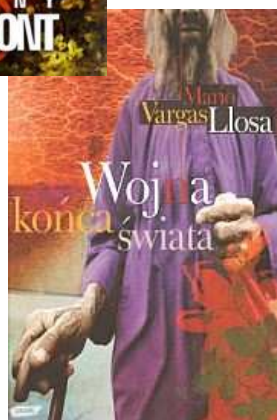
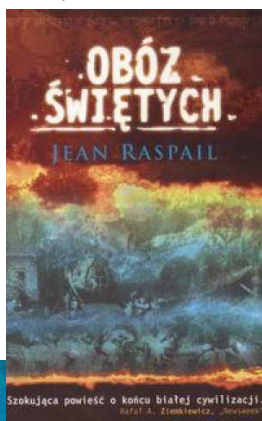
o krzyż znacznie lepiej rozumiem tę powieść. W tej perspektywie słynna alternatywa premiera, że albo się będzie z rządem, albo wyginie jak dinozaury, nabiera zupełnie nowego znaczenia. Żeby było jasne: nie podejrzewam nikogo (ani PO, ani SLD, ani RuPo) o gotowanie moherowej opozycji losu, jaki spotkał rzeczzone gady, ale dostrzegam kompletny brak propozycji dla ludzi, którzy nie chcą się godzić na modernizację, której jedynymi przejawami będzie rugowanie religii z przestrzeni publicznej, promocja seksualnych ekstrawagancji i aborcja (tudzież in vitro) na życzenie. Parę tygodni temu przeczytałem socjologiczną analizę prof. Staniszkis, która do-

wodziła pęknięcia społecznej rzeczywistości – i tego, że ludzie żyjący obok siebie, tak naprawdę przebywają w zupełnie odmiennych aksjologicznych przestrzeniach, a spotkanie jednych i drugich ze sobą jest niemożliwe. To całkiem zgrabne wytłumaczenie, nie tylko naszych polskich perypetii z kilku (a nawet kilkunastu) ostatnich miesięcy, ale także dziejowego dramatu, który przywołał na kartach swej powieści Llosa. W moim wydaniu (Poznań 1998) książka ta ma 570 stron zadrukowanych maczkiem, zima za pasem, nie pozostaje mi zatem nic innego, by polecić lekturę i tej książki.

Wasz wielkokacki korespondent

Ps.

Doczekaliśmy się wreszcie drugiego Polaka, który został mistrzem świata w najbardziej fantastycznej dyscyplinie sportowej na Ziemi. Tomasz Gollob Indywidualnym Mistrzem Świata 2010 w jeździe na żużlu!!!! Całe życie czekałem, by móc napisać te słowa (poprzedni mistrz Jerzy Szczakiel zdobył tytuł w roku 1973, kiedy miałem niespełna roczek). Sukces Golloba jest tym większy, że poparty tytułem wicemistrza świata przez Jarosława Hampela. Jeśli dodać do tego drugie z rzędu mistrzostwo świata naszej żużlowej drużyny – to czegoż chcieć więcej. Chyba tylko tego, żeby ktoś w sportowej centrali wreszcie raczył dostrzec dyscyplinę, w której jesteśmy potęgą, a nie pompował miliony w gwiazdy siatkówki czy piłki kopanej, gdzie sukcesy są sporadyczne, a zawodnicy i trenerzy nie potrafią nawet wytłumaczyć się ze swoich porażek.



5. WYPRAWA Z SOLARIS TRAVEL (1)

Śladami Draculi i Turków osmańskich, czyli Wyprawa Transylwańska (6-21.08.2010 r.)

Z kontaktów telefoniczno-mailowo-bezpośrednich wiem, że nie byłam odosobniona w oczekiwaniu na wyjazd tropem Draculi Palownika i Turków osmańskich w towarzystwie globtroterów z Solaris Tavel. Wojtek, nasz niezastąpiony organizator, zaproponował w tym roku odwiedzenie Transylwanii, Stambułu, północnej Grecji i kawałka Bułgarii.

I stało się, jest piątek 6 sierpnia - rozpoczynamy kolejną wyprawę.

Już sam początek podróży zapowiada, że będzie się działo... Zbiórkę w Warszawie wyznaczono na godzinę 19:00. Tradycją naszych wypraw jest jednak trudny start. Tym razem to nie chomiki i ich wspaniały pojazd, ale siły natury powodują opóźnienie. Nad Warszawą rozgrywa się istny Armagedon: błyskawice, grzmoty, ulewa, wichura i nagły spadek temperatury. Czekamy cierpliwie na Dworcu Zachodnim w silnej grupie travelowiczów z różnych stron Polski i z Francji. Mijają kolejne minuty. Utrzymuję stały kontakt z Anią Papierkowską i Wojtkiem Sedeńko, podążającymi w naszym kierunku z Olsztyna. Informacje, które do mnie docierają, nie są optymistyczne – „Płyniemy Wisłostradą”, „Utknęliśmy w potokach wody na Trasie Toruńskiej”¹. Ostatecznie pakujemy bagaże w strugach deszczu z 2-godzinnym opóźnieniem i ruszamy w świat. Wreszcie, rozluźnieni, wymieniamy w autokarze uściski z „grupą z północy”. Z przejazdu przez Polskę pamiętam wyłącznie długi objazd Radomia. Słowacja to w mojej pamięci jedynie wjazd do niej – mój ostatni obraz w głowie to jazda autokarem do tyłu tuż po zakupie winiety. Po następnym przebudzeniu jesteśmy już na Węgrzech. Krajobraz za oknem jest niezwykle monotony – teren płaski, bez zabudowań, kilometrami ciągną się pola słoneczników i kukurydzy. Do granicy rumuńskiej docieramy ok. 11:00.

Tuż za granicą zaskakuje nas totalna zmiana jakości. Dookoła brud, mnóstwo zabudowań przemysłowych, zarośnięte, zaniedbane cmentarze. Miasta przygraniczne to istne koszmaki, ale wsie mają swój specyficzny charakter. Zabudowania na wsi połączone są ze sobą wzdłuż głównej ulicy. Domy ustawione szczytami do ulicy są bardzo kolorowe: różowe, niebieskie, żółte, zielone, szare. Często malowane są w kwadraty lub pasy. Uwagę przyciągają niepowtarzalne bramy wejściowe na porośnięte winoroślą minipodwóreczka. Całość jakaś taka klimatyczna. Po drodze do miejsca naszego pierwszego noclegu wyróżnia się jedna z miejscowości, pełna hoteli, pensjonatów i campingów. Tablice informują, że jest to Baile Felix. Szybko znajduję odpowiedni rozdział w moim przewodniku po Rumunii. Okazuje się, że trafiliśmy do uzdrowiska znanego z wód termalnych.

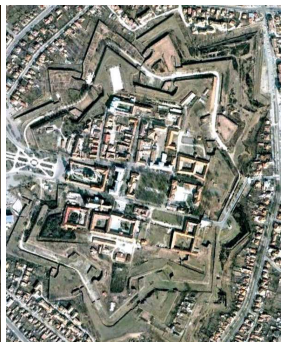
Przed 18-tą jesteśmy w hotelu Krystal w **Hunedoarze**. Pokoje duże, czyste, obsługa sympatyczna. Czuję, że jest to początek zmiany mojego myślenia o Rumunii. Na miejscu nie można niestety nic zjeść, a organizm po długiej podróży domaga się dobrej strawy. Dla Klaudiusza, właściciela hotelu, to nie problem. Zobowiązuje się zawieźć nas do rodzinnej restauracji. Chętnych do przejazdu jest więcej, niż może pomieścić jeden samochód. Podjeżdża więc swoim autem właściciel restauracji. Obiadokolacja u „Tiffaniego” wypada wyjątkowo fajnie. Kelnerki są bystre – jedna z nich, śliczna Iza, mówi dobrze po angielsku. Na typowo rumuńskie potrawy trafiają Krzyś i Rysiu. Pierwszy zajada flaki przyrządzone na mleku, drugi, jako dodatek, dostaje polentę z kaszy kukurydzianej. Wszyscy pijemy do



¹ Chodziło o podjazdy pod wiaduktami, gdzie woda dochodziła do połowy kół autobusu.



posiłku piwo Ursus – "**King of beer** in Romania". W czasie gdy my, w 9-cio osobowym składzie, podjadamy sobie, część naszych kolegów wędruje w stronę miasta. Najdalej dociera Wojtek. Udaje mu się spenetrować fragment zamkniętej fabryki, zalicza też w drodze powrotnej jazdę rumuńskim wozem konnym. Późnym wieczorem spotykamy się w dużej grupie globtroterów na parterze naszego hotelu. W integracji uczestniczy również Klaudiusz. Chyba polubił naszą grupę – w rewanżu za polski trunek i sympatyczną rozmowę z Rysiem i Piotrkim dostajemy od niego 3-litrowy baniak ze śliwowicą. Moc tego specjału sprawia, że towarzyszy on nam prawie do końca podróży. Nocą zapadamy w zdrowy sen, a po porannym omlecie ruszamy do miasta. Mijane przez nas opuszczone, zrujnowane fabryki w Hunedoarze są przynębiające. I nagle, w tym wymarłym socjalistycznym świecie, pojawia się prawdziwa perełka – Zamek Draculi². Jest naprawdę bajeczny. Nieprzypadkowo przewodniki opisują go jako najpiękniejszy średniowieczny zamek Transylwanii. Szkoda, że poświęcamy mu tak mało czasu, tym bardziej, że następny punkt programu rozczarowuje. **Alba Julia**, bo o niej mowa, to nieciekawe miasteczko³.



Dostajemy od Wojtka godzinę na zabytki dawnej stolicy Siedmiogrodu. Katedra rzymsko-katolicka św. Michała sprawia wrażenie opuszczonej. Może wpływ na takie odczucie mają tłumy wiernych zgromadzone w położonej obok prawosławnej cerkwi. Trwa tam akurat msza, słyszymy piękne śpiewy chóralne.

² Tu Elwira przesadziła! Zamek w Hunedoarze nic nie miał wspólnego z Władem Palownikiem. Jedno tylko źródło wspomina, iż możliwe że tutaj był jakiś czas więziony przez króla węgierskiego.

³ Mam nieco odmienne zdanie. Alba Iulia była w czasach rzymskich stolicą prowincji Dacia, zaś w okresie średniowiecza stolicą Siedmiogrodu. Tutaj 1 grudnia 1918 roku zostało proklamowane królestwo zjednoczonej Rumunii. Na początku XVIII wieku zbudowano obwarowania tzw. „górnego miasta”. Ogromne bastiony naprawdę robią wrażenie! Pomijam tu świetne piwo, które piliśmy w pubie u stóp głównej bramy.

Zaczynamy się nudzić, więc zbiórka przed autokarem przebiega wyjątkowo sprawnie. Mamy jechać środkiem Transylwanii, ale spotyka nas przykra niespodzianka. Znaki informują, że na trasie jest tunel, w którym nie zmieści się autokar. Nadrabiamy okólną drogą ok. 150 km. Powoduje to konieczność rezygnacji ze zwiedzania jednej z dwóch rumuńskich wiosek⁴, które są tego dnia w planie. Zanim docieramy do **Biertan**, na jednym z postojów gimnastykujemy się zbiorowo przy czyszczeniu obuwia z ciężkiej gliny, w jaką wpadły panie (i Boguś) wędrujące na prawą stronę. Biertan, wioska wpisana na Listę Światowego Dziedzictwa UNESCO, położona jest malowniczo wśród zielonych wzniesień. Tuż nad rynkiem góruje twierdza z wieżami i kościołem warownym. Docieramy tam drewnianymi, zadaszonymi schodami. Każdy z nas, przekraczając próg kościoła, ma takie same odczucia – w nozdrza uderza specyficzny zapach minionych wieków. Wewnątrz



mnóstwo prawdziwych cudeniek z końca XV i początku XVI wieku: tryptyk ze scenami z życia Marii i Jezusa, ambona, portale. Długo przyglądam się niezwykle skomplikowanemu zamkowi w drzwiach do zakrystii. Spacerujemy jeszcze wzdłuż solidnych murów obronnych podziwiając z góry okolicę i ruszamy dalej.

Następny punkt programu to **Sighisoara**. Tutaj wypada nasz kolejny nocleg. Hotel Rex, położony w środku osiedla mieszkaniowego, zdecydowanie nie jest luksusowy. Na parterze trwa wesele – i już martwię się, jak prze-trwam noc. Wnosimy sprawnie bagaże, bierzemy szybki prysznic i w towarzystwie części grupy przemieszczamy się na starówkę. Strzałem w dziesiątkę jest wybór taksówek jako środka lokomocji. Są tanie i dowożą nas, niezmiernie strudzonych mijającym dniem, w samo serce miasta. Szczęśliwie wszystkie miejsca warte obejrzenia znajdują się na niewielkiej przestrzeni. Architektura górnego miasta sprawia, że Sighisoara porównywana jest w przewodnikach do znanego nam francuskiego Carcassonne. Przechadzamy się wąskimi uliczkami, z ciekawością oglądamy zabytkowe kamienice. Niestety większość z nich wymaga gruntownej renowacji. Dom Draculi, w którym prawdopodobnie przyszedł na świat Wład Palownik, znajduje się tuż przy głównym symbolu miasta – Wieży Zegarowej. Pod Schody Szkolne tylko podchodzimy (wiem, że niektórzy je pokonali).



⁴ Elwira ma na myśli wczesnośredniowieczne wioski warowne, zbudowane w XIII wieku przez Sasów w ramach akcji osadniczych organizowanych. przez królów węgierskich. Do dzisiaj zachowało się 7 takich wiosek.



Po ekspresowym zwiedzaniu wędrujemy na kolację. Wybieramy restaurację, w której pod parasolem siedzą Rysiu z Piotrkim. Wierzmy, że mają wycucie w wyborze właściwego lokalu. Z czasem dociera w to miejsce większość travelowiczów. I tak jest zazwyczaj: nieważne jak bardzo rozproszylibyśmy się w nieznanym nam miejscu – instynktownie, bez umawiania, odnajdujemy się. Przy posiłku zastaje nas zmrok. Jesteśmy rozczarowani, że nie zapalają się latarnie – przecież podświetlona wieczorem średniowieczna starówka musi mieć niesamowity urok. Włóczymy się jeszcze przez jakiś czas i zapada



decyzja o powrocie do hotelu. Jesteśmy pod Wieżą Zegarową, gdy wybija 21:00 i nagle następuje iluminacja – jednak doczekaliśmy się!!! W zdecydowanie lepszych nastrojach wracamy na nocną sesję zdjęciową. Niestety, niebo zaczyna przecinać błyskawice. Chcieliśmy poczuć trochę adrenaliny w mieście Draculi, więc jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki nasze oczekiwania spełniają się. Ulewa jest tak intensywna, że parasole wystawione w kawiarnianych ogródkach nie wytrzymują. Natura powoduje, że powrót do hotelu staje się konieczny.

Tuż po śniadaniu wyruszamy w kierunku Braszowa. Po drodze czeka nas jeszcze wiele przeżyć. Pierwsze z nich to próba dotarcia do wioski obronnej Viscri. Zbaczamy z głównej szosy, pokonując zakręt z ostrym spadkiem. Mijamy wioskę cygańską jak z XIX wieku: wozy konne, zapadnięte chałupy, skrajnie ubogie, zaniedbane podwórka. Kontrastem są anteny satelitarne na dziurawych dachach. Do pokonania mamy ok. 5 km. Wąską, miejscami nieźle podmytą drogą, pokonujemy $\frac{3}{4}$ odległości, gdy pojawia się niespodziewana przeszkoda.

Drewniana kładka, łąająca dziurę powstałą prawdopodobnie po podmyciu, jest nie do pokonania przez 12-tonowy autokar. Pobocza drogi są bagniste, nie ma możliwości wykręcenia i przychodzi nam jechać parę kilometrów tyłem. Stanowimy nie lada atrakcję dla miejscowych. Autokar w tym miejscu jest pewnie niecodziennym zjawiskiem, a autokar jadący do tyłu, to dopiero wydarzenie! Wojtek idący asfaltem długo przeżywa spotkanie z cygańskimi dziećmi – zaczepiają go, łapią za brzuch. Szczęśliwie wychodzimy z opresji bez szwanku i nagradzamy naszych kierowców brawami. Ta przygoda trochę nas ożywia.



W dobrych humorach docieramy do **Bran**. Okolice przypomina raczej wioski w Austrii czy Niemczech niż to, co do tej pory widzieliśmy w Rumunii. Pod terenem zamkowym istnieją Krupówki – pełno kramów z pamiątkami. Można tu nabyć koszulki z podobizną Draculi, magnesy na lodówkę, ręcznie haftowane stroje ludowe. W kompaktowym zamku jest mnóstwo niewielkich, skromnie wyposażonych pomieszczeń ułożonych jak w labiryncie. Z wielu krużganków i balkoników zwiedzający wyglądają na małe dzieci. Zgadza się z autorami mojego przewodnika, że zamek Bran wybudowano chyba z myślą o turystach. Wład Palownik spędził tu prawdopodobnie tylko kilka nocy, ale miejscowi umieli wykorzystać legendę do nabijania kasy.



Następny nasz przystanek wypada w **Rasnowie**. Z perspektywy drogi głównej zamek chłopski⁵ położony na wysokim wzniesieniu masywu Postavaru wydaje się trudny do zdobycia. Szczęśliwie to tylko złudzenie. Wędrówka do niego z poziomu parkingu zajmuje ok. 20 minut. Z zamku pozostały tylko klimatyczno-romantyczne ruiny. Podobają mi one się dużo bardziej niż wypucowany Bran. Pstrykamy sobie grupową fotkę i jedziemy na zasłużony odpoczynek do kolejnego hotelu.



⁵ Zamek został zbudowany przez chłopów z okolicznych wsi i miasteczek w miejscu, na którym niegdyś stał zamek krzyżacki. Zamek ten jest dobrym przykładem zorganizowania włościan na wypadek najazdu. W przypadku zagrożenia opuszczali oni swoje gospodarstwa i przenosili się do zamku, w którym bronili się przed atakami. Każda rodzina miała przypisane pomieszczenia do zamieszkania i przechowywania zapasów na czas najazdu. Teren wewnętrzny zamku wyglądał jak mała uroczą wioska i raczej nie przypomina typowej budowli obronnej (no, ale w końcu to zamek chłopski, a nie królewski czy rycerski).



W **Braszowie**⁶ spędzamy dwie noce, co daje nam poczucie pewnej stabilności. Hotel Apollonia szybko akceptujemy. Pokoje fajne (mamy hydromasaż!!!), przyjemna restauracja z ładną częścią tarasową, basen. Kuchnia jest całkiem niezła – przekonujemy się o tym i na obiadokolacji i na śniadaniu.

Ogromną zaletą Apollonii jest bliskość starówki. W ciągu 10 minut (z zaliczeniem miejscowego targu owocowo-warzywnego) docieramy na ulicę Republica. Mimo późnego wieczoru ludzi spacerujących deptakiem i siedzących w restauracyjnych i kawiarnianych ogródkach jest mnóstwo. Atmosfera miejsca przypomina mi nieco Bratysławę. Uroku miastu dodaje jego położenie u podnóża góry Tampa. Tuż pod jej szczytem, niczym w Hollywood, znajduje się widoczny w promieniu wielu kilometrów napis BRASOV. Na szczyt można dojechać kolejką linową, my jednak zostajemy na dole. Wędrujemy w towarzystwie Sedeńków i chcemy tego pierwszego wieczoru w Braszowie zobaczyć maksymalnie dużo.

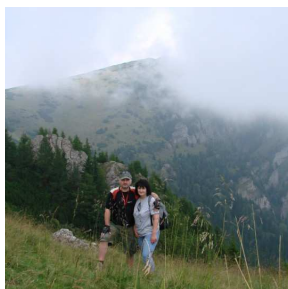


Trafiamy na Piața Sfatului (rynek miejski), którego centralnym punktem jest ratusz. Obecnie mieści się w nim Muzeum Historyczne. Podziwiamy kolorowe kamienice – niektóre są już wyremontowane. Tuż obok ratusza, przy fontannie, zadziwiają nas grupki jednakowo ubranych w stroje sportowe chłopców. Później, z rumuńskiej telewizji, dowiadujemy się, że w Braszowie rozgrywane są właśnie zawody młodzików w piłce nożnej. Naszym następnym celem, zgodnie z sugestiami przewodników, są Czarny Kościół i bardzo wąska uliczka. Kościół położony jest tuż przy rynku. Mimo przeprowadzonej w ostatnich latach renowacji, nadal widać ślady sadzy, jaka osadziła się na nim w czasie wielkiego pożaru z 1689r. Ulicę Sforii, najwęższą w Rumunii, niełatwo odnaleźć. Wejście na nią przypomina zwykłą bramę na podwórze kamienicy. Oczywiście dla globtroterów nie jest to przeszkoda – docieramy tam i powstaje seria fajnych fotek. W drodze powrotnej do hotelu trochę podjadamy. Najpierw są pyszne lody - niektórzy odważnie wybierają gałki w kolorze czarnym (smak Dracula). Później trafiamy do ulicznej piekarni, gdzie zaopatrujemy się w gorące precle. Pełna wrażeń i porządnie zmęczona padam na łóżko, ale spora grupa nadal pragnie integracji i oczywiście organizuje spotkanie towarzyskie.

⁶ Jako ciekawostka: Braszów (rum. Braşov, węg. Brassó, niem. Kronstadt, w saskim dialekcie siedmiogrodzkim Krunen) został założony w 1211 roku przez Krzyżaków, a w latach 1951-1961 nosił nazwę Stalin.



Kolejny dzień poświęcamy na wypad w góry **Bucegi** (Karpaty Południowe). Pogoda od rana stanowi wielką niewiadomą. Niebo zasnutę jest chmurami, a mamy przecież ochotę na piękne widoki. Przemieszczamy się w kierunku **Sinai**, mijając po drodze Busteni, nad którym góruje skalisty Omul (2505 m npm) z krzyżem na szczycie. Parkujemy tradycyjnie baaardzo daleko i ruszamy do kolejki linowej. Przed kasą jest trochę zamieszania z powodu braku możliwości płacenia kartą. Jedni drugim pożyczają pieniądze, inni wędrują do miasta w poszukiwaniu bankomatów. Ostatecznie zdecydowana większość grupy wjeżdża kolejką najpierw na 1400 m npm, później po przesiadce na 2000 m npm. Jadę w jednym wagoniku z trzema naszymi odważnikami: Beatką, Rysiem i Kasią. Ich niechęć do podróżowania takim środkiem lokomocji wysiada całkowicie przy zachowaniu pewnej Włoszki. Kobieta sapie, dyszy, wygląda jak w stanie przedzawałowym. Po wyjściu z wagonika usiłuje znaleźć oparcie na ścianie, lecz osuwa się. Na długo zapewne zapamięta tą przejażdżkę.



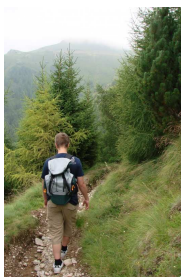
Na szczycie temperatura jest dużo niższa niż na dole, więc wydobywamy z plecaków kurtki. Pogoda powoli klaruje się. Zostawiamy Kasię, by w spokoju zebrała siły na straszną podróż powrotną i idziemy z Markiem podziwiać górską panoramę. Widzę wyciąg krzesełkowy – i natychmiast, jako zapalona narciarka, interesuję się trasami zjazdowymi. Zimą musi być tu niezłe. Marek szybko rezygnuje z dalszej wędrowki. Wraca pod górną stację kolejki w towarzystwie spotkanych⁷ Ani z Krzysiem i Eli z Jarkiem. Ja mam ochotę zobaczyć coś więcej i ruszam sama. Tuż za najbliższym szczytem spotykam naszych travelowiczów. Siadam z nimi pozachwycać się okolicą. Jest cudnie, spokojnie, krążą nad nami orły – jednym słowem bajeczka. Powoli myślimy o powrocie do miasta. Idziemy na łatwiznę i wybieramy powrót do Sinai kolejką. Część naszych kolegów rusza ambitnie piechotą. Trzymamy kciuki, żeby zdążyli dotrzeć na czas na miejsce zbiórki. Zejście z 2 tys. metrów to nie przelewki.

⁷ Przyjechaliśmy wcześniejszą kolejką i już zdążyliśmy obrócić kilka kilometrów po okolicy.

Ci, co „poszli na skróty”, mają dużo czasu na poznawanie miasta⁸. Spotykamy Iwonę i wspólnie z nią oglądamy miejscowe atrakcje. Temperatura przekracza 30°C, a odległości do pokonania są całkiem spore. W pierwszej kolejności docieramy pod Monaster Sinaia, później trafiamy do Zamku Peles⁹. Architekci i artyści mieli niezłą wyobraźnię realizując zachciankę Karola I Hohenzollerna. Budowla wygląda jak pałac z baśni. Nic więc dziwnego, że wyzwała we mnie dziecko. Obserwując maluchy wspinające się na kamienne lwy czuję potrzebę zrobienia tego samego. Moja próba kończy się pogonieniem przez strażnika. W okolicy zamku spotykamy „naszych” i utrwalamy to wydarzenie na kolejnej fotce.



W drodze do miejsca zbiórki ocieramy się jeszcze o polecane w ulotkach kasyno – niestety jest remontowane. Na parkingu pojawiają się nasi dzielni wyczynowcy. Są pełni wrażeń z górskiego szlaku. Jestem bardzo ciekawa zdjąć, jakie powstały w czasie tej wędrówki – wiem, że Wojtek prezentował już swoje na konwencji w Cieszynie.



Wczesnym wieczorem wracamy do Apolonii. To nasz ostatni wieczór w Braszowie i w Kraju Draculi. Nachodzi mnie chwila refleksji. Transylwania powoduje przewartościowanie mojego wyobrażenia o Rumunii. Po pierwsze zauważam, że Rumuni to niezwykle urodziwy naród. Starają się być życzliwi wobec przyjezdnych. Przypuszczam, że w najbliższym czasie przeznaczą spore pieniądze na rozwój turystyki – już obecnie mają dobrej jakości bazę hotelową, powoli restaurują swoje zabytki. Pięknych widoków również tutaj nie brakuje. Naprawdę warto wybrać się w te strony.

Elwira Zawidzka¹⁰

cdn

⁸ Zbyttnio zawierzyłem planowi Sinai otrzymanemu w centrum turystycznym i pogoniłem Anię oraz Jarków najdłuższą z możliwych tras do Zamku Peles.

⁹ Mówi się „Zamek Peles”, a faktycznie jest to pałac królewski. W pobliżu są jeszcze dwa pałace – zbudowane przez innych królów Rumunii: Pelisor (chwilowo wyłączony ze zwiedzania) i niedostępny Foisor (obstawiony przez ichnich BORowców).

¹⁰ Przypisy wykonał Krzysztof Papierkowski

Trochę o niemożliwości

Z nieba nie mogą spadać kamienie, ponieważ w niebie nie ma żadnych kamieni.

(oświadczenie Akademii Francuskiej, XIX w.)

Parę lat przed lotem braci Wright lord Kelvin dowodził, że nie jest możliwe zbudowanie maszyny latającej cięższej od powietrza; a gdyby nawet – to w żadnym wypadku nie dałoby się nią sterować. Tuż przed rundką Gagarina mój znajomy kategorycznie twierdził, że człowiek nie może polecieć w Kosmos; a jeżeli już

– to w żadnym razie nie będzie mógł wrócić. Obecnie słyszymy, że absolutnie niewykonalne są podróże międzygwiazdne, itd. Wniosek jest jeden: jeżeli ktoś ci mówi, że coś jest niemożliwe – nie wierz mu.

Dlaczego ci pesymiści okazali się niewiarygodni? Ano dlatego, że świat rzeczywisty nie jest światem idei, w którym wszystko chodzi jak w zegarku. Natomiast gdy bywalec Amberu twierdzi, że coś jest niemożliwe – zawsze wie dokładnie, co ma na myśli, i jego słuchacze również, bo opiera swą wypowiedź na precyzyjnych założeniach. Jeśli więc Platon bądź jeden z jego następców uważa coś za niewykonalne, można mu wierzyć, ponieważ wie, co mówi*).

Oto kilka niemożliwości. Gdyby ktoś chciał wykafelkować płaszczyznę w najbardziej nudny sposób, a więc używając jednakowych płytek będących wielokątami foremnymi, to nie zdołałby tego zrobić inaczej, jak tylko za pomocą trójkątów równobocznych, kwadratów lub sześciokątów foremnych (na wzór plastra miodu). Jeśli by za to, w przystępie megalomanii, chciał tak samo potraktować kulę ziemską, mógłby otrzymać tylko i wyłącznie jeden z pięciu możliwych wielościanów foremnych, czyli tak zwanych brył platońskich: czworościan, sześciścian, ośmiościan, dwunastościan lub dwudziestościan. Inne wielościany foremne po prostu nie istnieją, choć jest cała masa tak zwanych wielościanów półforemnych (na przykład klasyczna piłka zszyta jest z pięciokątów i sześciokątów foremnych).



Łącząc odcinkami środki ścian brył platońskich, otrzymujemy znowu wielościany foremne, w szczególności z dwunastościanu dwudziestościan i *vice versa*. Taka podwójna siatka na kuli ziemskiej podobno realnie istnieje i wyznacza np. uskoki tektoniczne, miejsca narodzin starożytnych cywilizacji czy Trójkąt Bermudzki. Ponieważ jednak w Internecie nie można znaleźć tej teorii, więc jakby nie istniała. Piszę się za to o Keplerze i jego harmonii sfer wykorzystującej bryły platońskie, tudzież o mnóstwie innych ezoterycznych interpretacji.

Inne niemożliwości wiążą się z konstrukcjami geometrycznymi, np. z przysłowiową już kwadraturą koła, podziałem kąta na trzy równe części czy pewnymi wielokątami foremnymi (napiszę o nich w następnym odcinku). Nie da się też znaleźć wzorów na rozwiązywanie równań stopnia piątego i wyższych. Tu matematycy musieli przezwyciężyć samych siebie, przechodząc od pytania *Jak to zrobić?* do pytania *Czy to możliwe?* – i w ten sposób dowodząc naukowej dojrzałości swojej dziedziny. A stało się to dopiero w XIX wieku.

Andrzej Prószyński



*) Co prawda w odcinku drugim Bertrand Russell głosił coś wręcz przeciwnego, teraz jednak mogę już zdradzić, że była to zwykła kokieteria, czyli właściwa matematykom potrzeba epatowania różnymi fajnymi paradoksami. Szybka autoanaliza uświadomiła mi, że jest to również główna siła napędowa niniejszego cyklu.

Alternatywne prawa fizyki w Anime

#1 – Prawo metafizycznej nieregularności

Normalne prawa fizyki nie mają zastosowania.

#2 – Prawo zróżnicowanej grawitacji

Kiedy ktoś lub coś skacze, jest rzucał albo z innych przyczyn znajduje się w powietrzu, siła grawitacji jest redukowana czterokrotnie.

#3 – Prawo amplifikacji sonicznej: pierwsze prawo akustyki w anime

W przestrzeni kosmicznej głośne dźwięki, np. eksplozje, są jeszcze głośniejsze ponieważ nie ma tam powietrza, które przeszkadzałoby w ich rozchodzeniu się.

#4 – Prawo stałego przyspieszenia, pierwsze prawo ruchu w anime

W przestrzeni kosmicznej stałe przyspieszenie jest równe stałej prędkości.

#5 – Prawo mechanicznej mobilności: drugie prawo ruchu w anime

Im większy obiekt mechaniczny, tym szybciej się porusza. Opancerzone mechy są najszybszymi obiektami znanymi ludzkiej nauce.

#6 – Prawo względności czasu

Czas nie jest stały. Czas zatrzymuje się dla bohatera, kiedy robi coś super-widowiskowego. Czas zwalnia swój bieg podczas śmierci przyjaciół bądź kochanków i przyspiesza podczas walki.

#7 – Pierwsze temporalne prawo śmiertelności

"Dobrzy goście" i "Źli goście" umierają na jeden z dwóch sposobów: albo tak szybko, że nie zdążą tego nawet zauważyć, albo w rozwlekłych scenach, w których bohater uświadamia sobie zasady funkcjonowania społeczeństwa, ludzkiej egzystencji i powody, dla których kanapki zawsze spadają masłem do dołu.

#8 – Drugie temporalne prawo śmiertelności

Umieranie zabiera czarnym charakterom trochę czasu... niezależnie od rodzaju odniesionych ran. Nawet jeśli "Źli goście" giną tak szybko, że nie zdążą nawet zauważyć przyczyny, uświadomienie sobie własnej śmierci zajmuje im nieco czasu. Przypisuje się to przekonaniu, że bycie złym powoduje uszkodzenie płata mózgowego odpowiedzialnego za postrzeganie rzeczywistości.

#9 – Prawo emfazy dramatycznej

Sceny ze szczególnie dużą dawką akcji są przedstawiane albo w postaci nieruchomych ujęć albo czarnego ekranu z błyskami jasnego koloru (zwykle czerwonego albo białego).

#10 – Prawo multiplikacji dramatycznej

Sceny, które zdarzają się tylko raz, np. "dobry facet" kopiący facjatę "złego faceta", są pokazywane przynajmniej 3 razy z 3 różnych kątów.

#11 – Prawo inherentnej niestabilności

Wszystko wybucha. Wszystko.

Wniosek pierwszy – Wszystko co wybucha, wpierw się nadyma.

Wniosek drugi – Wielkie miasta są najbardziej wybuchowymi substancjami znanymi ludzkiej nauce. W szczególności Tokio zdaje się być najbardziej niestabilnym z tych miast, czasami określanym jako "miasto rozrywki".

#12 – Prawo emisji flogistatycznej

Prawie wszystkie obiekty emitują światło ze śmiertelnych ran.



Stereo i w kolorze

008

Jakiś czas temu w wodę wpadł kamyk. Bardzo mały, toń wzburzył nieznacznie, lecz fale jednak się rozeszły. I spowodowały korzystne zmiany w mej osobistej mikroskali. W sam czas skłoniły mnie do zainteresowania się, po długiej przerwie, książką. Nie prądami, nie nurtami i nie zjawiskami. Po prostu książką. Jako taką.

Tak się bowiem złożyło, że doprawdy przesadnie wychwalana mobilność, na którą skazał mnie los, uczyniła mój ukochany kilkutyśięczny księgozbiór średnio przydatnym. To, co w postaci stabilnej waży zapewne tony, co w postaci mobilnej, jako przydatne, ważyłoby setki kilogramów, z których konieczne okazałyby się dziesiątki (plus ta jedna, absolutnie niezbędna książeczka, której oczywiście bym zapomniał), zajmuje ułamek wagi tak nieulubianego przeze mnie niespełna dwukilowego „stereo i koloru”.

Co oczywiście nieuchronnie uskrzydla myśli, kierując je w rejony filozofii. I fantastyki. Nie całkiem dlatego, że pytanie „czy książka zniknie?” zadawał sobie publicznie sam Jarek Grzędowicz; ówże cisnął ten pierwszy kamyk i za to mu dziękuję. Także dlatego, że Jean-Claude Carriere i Umberto Eco spróbowali udzielić na nie odpowiedzi i tym samym wkroczyli w rejony całkiem klasycznej fantastyki.

Tezę tę, bijącą w oczy po przyjemnej lekturze „Nie myśl, że książki znikną” (W.A.B. 2010), argumentować można na wiele sposobów. Szczupłość miejsca wymusza samoograniczenie do dwóch.

Jak wiadomo, pisarze fantastyki – a może raczej „fantastycy”, choć to się chyba nie przyjmie – z upodobaniem piszą o tym, na czym najmniej się znają; przynajmniej zagraniczni (u nas trzeba się znać na Wikingach, nauki ścisłe też są niekonieczne). Panowie Carriere i Eco, z ich pogardą dla komputerów i e-booków, idą więc, chlubnie, śladami Gibsona. Tworzą swój własny, wirtualny świat, w którym formaty i nośniki zmieniają się tak szybko, że o przydatności udostępnianych tą drogą książek nie ma nawet co gadać. Co innego *książka*, ta prawdziwa rzecz jasna.

I tu leży wampir pogrzebany. Bo panowie, doskonale świadomi faktu, że fantastyka naukowa nie ma definicji, nie troszczą się też o zdefiniowanie tego, czym właściwie jest to, co nie zniknie. Nawet metoda opisowa im fałszuje, skoro książką może być i obelisk, i ściana komnaty grobowej zamożnego Egipcjanina, i zwój, i co tam jeszcze. Właściwie wszystko, wykluczona jest tylko przysłowiowa wążka elektronów. Biorąc pod uwagę, że obaj są wyrafinowanymi bibliofilami zakładam, że pendrive o jakże minimalistycznej estetyce, aż zbyt łatwa do zgubienia karta rozmiaru, paznokcia, by już nie mówić o siemieniach txt i rtf, zwyczajnie nie spełniają ich wymagań estetycznych. Da się z nich wygodnie czytać, ale nie grają w kontekście. Co z jakiś powodów wydaje się ważniejsze niż po prostu lektura.

Jak Jarkowi za bodziec do myślenia, tak i obu panom też jestem wdzięczny i dziękuję. Za wprowadzenie zamętu w moje pojęcie tego, co stereo i w kolorze. Przede mną stoi oto dający mi zarobić zgrabny IBM. Obok niego leży katalog wystawy „Seeing Salvation” z „Chrystusem świętego Jana od Kryża” na okładce. Jest większy od IBMa, cięższy, nieporównanie mniej poręczny. I treści też w nim nieporównanie mniej.

Ktoś wie, co mam z tym zrobić? Jaki wyciągnąć wniosek?

Że książką jest po prostu to, co zajmuje za dużo miejsca, za dużo wazy, okropnie się kurzy, kosztuje więcej niż masz ochotę – i czasem nawet możliwości – zapłacić... i czego nie pozbyłbyś się za skarby świata? Nie wymienił na nowy model?

Coś, czego nie da się upraktyczyć i zminiaturyzować? Zredukować do stereo i koloru?

Krzysztof Sokołowski

GDAŃSKI KLUB FANTASTYKI

INFORMATOR
257

ADRES GKF : Gdańsk-Przymorze, ul. Opolska 2

ADRES KORESPONDENCYJNY: skr. poczt. 76, 80–325 Gdańsk 37

STRONA: www.gkf.org.pl

REDAKCJA: Jan Plata-Przechlewski (red. naczej.), Krzysztof Papierkowski, Marcin Szklarski,
Michał Szklarski

KONTO BANKOWE GKF: PKO BP I O/GDYNIA nr 52 1020 1853 0000 9902 0067 8359

Nakład 300

WYDAWNICTWO BEZPŁATNE

Teksty drukowane w „Informatorze” odzwierciedlają przekonania Autorów i nie zawsze pokrywają się z poglądami redakcji